

XXXVI OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 26 LISTOPADA 2021 R.





ORGANIZATORZY:  
Burmistrz Miasta Lęborka  
Rada Miejska w Lęborku  
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego  
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie  
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku  
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego  
Samorządu Powiatu Lęborskiego  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku



**MIECZYŚLAW STRUK**  
MARSZAŁEK  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

*Lustro*

*-B.T.*

*cóż pozostanie  
gdy odwrócę głowę  
kilka niespełnień  
od dziś aż do jutra  
cierpień bez bólu  
radości bez śmiechu  
gdzie tam  
odnajdę ciebie  
daleką  
choć nie obcą*

*Mieczysław Stryjewski  
22 I 1970*



Vittorio Ramorè

## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

Bożena Ugowska

LAUREACI

*Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego*  
**Amelia Pudzianowska** (Radom)

W KATEGORII POEZJI:

*I miejsce - nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Wojciech Roszkowski** (Działoszyce)

*I miejsce - nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku*  
**Katarzyna Kadyjewska** (Rzeszów)

*III nagroda*  
**Ewelina Kuśka** (Jastrzębie-Zdrój)

W KATEGORII PROZY:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*  
**Wiktor Orłowski** (Zgorzelec)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego*  
**Aleksandra Majdzińska** (Stara Dąbrowa)

*III nagroda*  
**Czesław Markiewicz** (Zielona Góra)

NAGRODY SPECJALNE

*Nagroda Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej*  
**Dorota Sysik** (Tawęcino)

*Wyróżnienie dla twórcy z ziemi lęborskiej*  
**Ewa Krzemińska** (Lębork)

*Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Adela Kuik-Kalinowska** (Słupsk)

*Nagroda Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*  
**Tytus Kamil Rolski** (Rogoźnik)

*Wyróżnienie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Mateusz Klebba** (Łężyce)





# NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

## AMELIA PUDZIANOWSKA

### PASJA WEDŁUG ADY K.

#### **Stacja I: Jezus na śmierć skazany**

Nie wiem gdzie poszli, chyba ćpać. Ja nie chcę ćpać, ale chcę iść z nimi. Mogę potrzymać włosy, jak w przerwie będą rzygać do kibla. Mogę zrobić im zdjęcie przy pomniku krasnala. Mogę dokończyć zapiekankę, jak nie będą mogli dojeść. Pragnę być cyfrą w zbiorze liczb, cyfrą, która jest dodana do całości, cyfrą, która jest częścią ich grupy. Chcę, żeby było ich pięć, a nie czworo, żebym to ja była ich piątką, rachuję, dodaję i liczę na to. Wynik wychodzi ujemny i to na moje konto. Teraz mogę już tylko iść do domu, pod koc, płakać, aż wypłyną mi oczy. Nikt nie krzyknął, nikt się nie odwrócił, nikt nie powiedział „czekajcie, może jeszcze Ada pójdzie z nami?”. Teraz zostało mi połknąć mój wstyd i czekać, aż on sam mnie strawi, bo jestem niczym innym jak tylko gównem.

#### **Stacja II: Jezus bierze krzyż na swoje ramiona**

Ona pyta, dlaczego nie poszłam z nimi. Ha ha ha, nie bądź śmieszna babo. Nogi niby mam, ale stoją jak słupy, które trzymają linię wysokiego napięcia. Jestem spięta, naprężona jak druty. Dlaczego z nimi nie poszłam? Bo po co mam żyć, skoro mogę umierać. Zraz zacznie się występ.

#### **Stacja III: Pierwszy upadek pod krzyżem**

Siedzę w filharmonii i ryczę. Czasem w płaczu jest jakaś metafizyka, to co z człowieka wypływa, tworzy drogę, którą krocząc, można dojść do tajemnicy cierpienia. Mój płacz jest tępy jak plastikowe sztuce. To tak, jakbym do przekrojenia kamienia używała łyżki. Zupełnie bezcelowe. Wyję, bo mi smutno, a akurat jest ciemno, panowie sobie tutaj pięknie grają, wszystko fajnie, miło, tylko że moja bluzka jest już słona od hektolitrów morskiej

wody. Jestem tak pusta, że jak zaraz ktoś coś do mnie będzie mówił, to odpowie mu echo. I spuchnięta, jak dmuchany zamek dla dzieci.

#### **Stacja IV: Pan Jezus spotyka swoją Matkę**

O Boże, przerwa. Obok mnie siedzi moja matka. Jak zapalą światła, zaraz zobaczy, że ryczę i skończy się zabawa. O już zauważyła. Ale ma krzywe zęby, teraz widzę wyraźnie, jak krzyczy, obnaża swoje kły. Może chciałaby mi wbić je w szyję i wyssać ze mnie wszystkie łzy. Ona mnie kocha, ale tak gwałtownie, brutalnie, na zabój. Czasem mówi, że chciałaby mnie wytrząść po mordzie. Chyba teraz jest taki moment. Dziś rano wpadł mi paproch do oka i intensywnie łzawiłam, wtedy matka też tak krzyczała. Mam wrażenie, że ona traktuje wszystkie rodzaje łez tak samo. Problem jest taki, że ja nie umiem zakręcić kranu w głowie i przestać.

#### **Stacja V: Szymon z Cyreny pomaga dźwigać krzyż Jezusowi**

Już po koncercie. Podchodzi do mnie brodaty Błażej i w całym swym jestestwie nie wygląda na naćpanego ani pijanego. Szkoda, chociaż i tak nie miałabym jak trzymać mu włosów przy rzyganiu, bo ma za krótkie. Chyba próbuje coś do mnie powiedzieć, a ja... Boże święty, czy ja się uśmiecham? Czy tak to się robi? Chyba coś mi źle wychodzi. Dostałam dziwnego skurczu twarzy. To nawet nie jest maska, to jest skalp pobrany z martwego zwierzęcia, które się nie uśmiecha, bo tak naprawdę nigdy nie umiało. On cały czas coś gada, a ja w gąszczu znaczeń i desygnatów, gubię bez sensu, cały ten sens, w sensie sensualnym. A teraz Błażej się rozproszył. Błażej to cząsteczka światła, która rozjaśniła mój mrok. A teraz się rozprasza po pomieszczeniu, odchodzi ode mnie i idzie do naćpanych ziomków. Pograżam się w ciemności.

#### **Stacja VI: Weronika ociera twarz Jezusowi**

Zrobiłam to. Jest mało krwi. Mam ją pod paznokciami. Chcę się wylizać jak zwierzę. Oby matka i naćpani nie widzieli. Jakiś obcy facet podaje mi chusteczkę. Zakrwawiłam kurtkę. O mój Boże, nie panuję nad sobą. Będę mówiła, że podrapał mnie kot. Pazury zostawiają na skórze wąskie cięcia, moje rany są szersze, ale nie tak głębokie. Ocieram krew chusteczką. Życie to niedokończone zdanie, a ja znajduję się w kropce.

### **Stacja VII: Drugi upadek pod krzyżem**

Jestem królową, a moi poddani to pustaki. Siedzę na stercie kamieni, mokra od płynów ustrojowych. Uciekłam do mego królestwa, gdzie mogę się ciąć kolorowym szkłem, znalezionym na wysypisku. Podnoszę dłoń, a ziemia woła na moją cześć. Opuszczam dłoń, a pustaki błagają o litość. Czcze urojenia wstąpiły w kamienie, które skandują moje imię. Wyję tak głośno, że aż ptaki podrywają się do lotu. Nad moją głową krążą gołębie. Jestem królową pustaków.

### **Stacja VIII: Jezus spotyka płaczące niewiasty**

Nie znalazłam szkła na śmietniku, nie mam czym się pociąć. Widzę naćpanych, podchodzą do mnie. Pytają, co się stało... Boże... jaki wstyd... Mam chyba brudny tyłek od siedzenia na pustakach. Cały czas ryczę. Szukają moich żył, gdy widzą taką jedną, grubą, niebieską, zaciskają mi opaskę i wstrzykują swoje współczucie. Litość rozlewa się po organizmie. Mam nadzieję, że to będzie złoty strzał. Nie czuję się dobrze, chyba ten towar wymieszali z trutką na szczury.

### **Stacja IX: Trzeci upadek pod ciężarem krzyża**

Jak w szpitalu wycinali mi nowotwór, to kazali chodzić po korytarzu, żeby się nie zrobiły zrosty. A ja teraz próbuję rozchodzić ból. Moje ciało chłonie cierpienie, które do tej pory krążyło w kosmosie jako negatywna energia. Dźwigam głód wychudzonych dzieci, niosę krzyk gwałconej kobiety, biorę na siebie lżę samotnej wdowy. I idę. I wracam. I idę. I wracam. Niech będą błogosławione moje stopy, przygniecione ciężarem tych wszystkich ciał, którymi nigdy nie byłam, tym jednym, którym nie jestem i żadnym, którym nie będę.

### **Stacja X: Jezus z szat obnażony**

Po co to zrobiłaś – pyta matka. Widzi moją dłoń z otwartymi ranami. Chowam rękę w rękaw i już nigdy jej nie pokażę. Pojadę na paraolimpiadę i nic nie zdobędę, bo nic nie umiem. Będę miała pogadanki w szkołach o woli walki i o tym, że jedyne co nas ogranicza, to wyobraźnia. Znajdę chłopaka z kikutem, wezmę z nim ślub i któregoś wieczoru, gdy będziemy zasypiać przytuleni, ręka wysunie mi się z rękawa. A wtedy on spojrzy na mnie zdziwiony i powie – Po co to zrobiłaś?... Halo, Ada?... Po co to zrobiłaś? – powtarza

matka. Patrzę na nią niewidzącym wzorkiem. Otrząsam się z zamyślenia. Miałam jechać na paraolimpiadę...

### **Stacja XI: Jezus do krzyża przybity**

Matka daje mi sto złotych i każe spierdalać. No to biorę i spierdalam w podskokach. Wtem matka drze się za mną – gdzie leziesz?! Przystaję. Znowu się na mnie krzyczy. Płacę. Wyciągam komórkę i dzwonię na telefon zaufania. Matka dalej się drze, zaraz zacznie rwać włosy z głowy całymi garściami, albo padnie na ziemię i będzie rozdzierać szatę. Wsiadamy do autobusu. Jedziemy na dworzec, koniec zabawy. Jestem przybita.

### **Stacja XII: Jezus umiera na krzyżu**

Wysiadam z autobusu. Nagle coś się dzieje. Nie od razu pojmuję, co to jest. To tak, jakby posikać się w miejscu publicznym. Straszy wstyd. Albo pokazać dupę przez okno. Kompromitacja. Tak właśnie się czuję. Wiem, stoję na środku świata i jestem naga, nieogolona, śmierdząca, zaryczana, brzydka i nieatrakcyjna. Coś pęka. Czuję, że cała się trzęsę. Matka przystaje i patrzy na mnie nieufnie. A mnie już nie ma. Teraz jestem tak jakby Adą 2, nowym człowiekiem, który już zawsze będzie żył z piętnem tej chwili. A może już nie będę żyć? Może od takiego wstydu się umiera?

### **Stacja XIII: Jezus z krzyża zdjęty (pieta)**

Mamo... mamusiu... ja chcę do mamusi... Matka patrzy na mnie, widać, że jest w ciężkim szoku. Klękam na ziemię i chowam głowę między kolana. Dalej szepczę do siebie – mamusiu... Wtedy ona kuca obok i mnie przytula. Płaczymy już obie. Czuję, jak po moim karku ciekną jej łzy. Już jestem córeczko...

### **Stacja XIV: Jezus do grobu złożony**

Trzymam matkę pod rękę, czuję się bezpieczna. Idziemy na dworzec, by zostawić to straszne miasto, sam na sam z jego problemami. Zjemy McDonalda i będziemy gadać o głupotach. Zanim stąd wyjadę, spojrzę jeszcze przez okno. Kiedyś posadzę na kolanach moje dzieci i wskazując im ten sam widok, zapytam – wiecie, kim był Jezus?

I NAGRODA  
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA  
WOJCIECH ROSZKOWSKI

TLEN

*To w nich ma nam być dobrze:  
Gdzie żyć, jeśli nie w dniach?  
Philip Larkin Dni*

/1/

Wciąż ciepły ślad oddechu na szybie,  
bezbarwne ćmy w twoich włosach,  
    przed chwilą chciały ulecieć do światła otwartych  
na oścież, w witraże szpitalnych witryn pęknięte od ciszy –

niosły ją szklane ptaki przez wszystkie miesiące zimy:  
grudzień, styczeń i luty w albach komunijnych  
pod niebem jak płonący cyklamen,  
    bo któż chciałby być lekarzem, który  
nie poda tlenu, by oddać go dwóm chorym lżej?  
(tym razem nie usłyszysz: *bierzcie i jedzcie z tego wszyscy*).

/2/

Powiedzmy inaczej: któż chciałby być lekarzem, który  
o d c i n a tlen, by oddać go dwóm chorym lżej? I gdzie jest  
różnica między *n i c*, przyzwoleniem na obecność nieobecności,

a bezpośrednim działaniem? Popatrz, pod świerkiem  
zasnął szczygieł i już się nie obudzi (w lipcu rozstawi  
tu namioty wesołe miasteczko), na placu zabaw pies  
przy pustej ławce, obok dziedziniec izby przyjęć pokryty  
plastrami śniegu. Chłodna biel,

czerwony tramwaj, który odśnieża szyny, gdy twoje palce  
pieszczą stłuczoną krawędź szklanki po mleku.

/3/

Z marca zostaje niewiele: samotność, zwykła rana  
do kości; przed świtem milknie wiatr w cienkiej halce,  
mgła kładzie się na ławkach jak znudzona kotka.

Nagie drzewa  
na skwerze, kościelny dzwon skrada się za swoim echem  
przez puste aleje.

Przed świtem twoja twarz nakryta prześcieradłem.  
Nigdy, nigdy nie powinnaś mi się zdarzyć, a trzymasz się  
kurczowo wstecznego lusterka. To nic, nic, tylko deszcz

na poboczu, lży na przestrzał, u kresu nocy poród słońca.

## ŻURAWIE

Pierwsze żurawie na rozlewiskach. Marzec moknie,  
tonąc, próbuje chwycić się wody. Ciemnieje

słońce w wytopionych błękitach. Istnieje coś pomiędzy  
światłem a cieniem nocy, gdy szara koszula nieba  
przesiąka szkarłatem. Za chwilę nieme jastrzębie opadną  
na łąki jak płaty sadzy, jak sen.

Ciii... Ktoś drapie szybę.

*To tylko paznokcie deszczu – szepczesz. Nad ranem  
któś z nas odejdzie za rzekę, prawda?*

Mówię, że nie. Kłamię, a ty mnie przytulasz. Boję się –  
co, jeśli usłyszysz? – zamieszkał we mnie ptak,  
szamocze się w klatce z żeber.

Nad ranem zostanie puste krzesło, kilka siwych włosów.

## [TAK NAPRAWDĘ WIERSZ NIE OCALA]

Tak naprawdę wiersz nie ocala: dziś rano obstawiono parawanem  
twoje łóżko. Dziś rano serce kurczyło się jak rzucona  
w ogień kartka.

Ten marzec jest niczym więcej  
niż tylko wilgotną plamą, to wiem, kiedy płaczesz

mi w ramię w oknie z widokiem na zatokę, kiedy słucham,  
jak uderzają gałęzie o blaszany dach oficyny,  
jak przesypuje się czas w klepsydrze. I nic,

nic się nie śni, nawet pola za mgłą, nieobecność ciała.



## SCENARIUSZ I REŻYSERIA

*Opisz, proszę, opisz mi miejsce!*

Zamokła mi zapalniczka: przepełniony mrok, zapach zwiędłych liści. Ulewa drobną fastrygą nacina brzuch lasu, odsłania coś zwinęte w kłębek niczym mały jeżyk.

Pod ziemią, jak pod wodą, nie słychać słów. Wczoraj z gardła wypływał mu sen, roztopiał się w kąciku ust jak wiśniowe lody pierwszego lata, które pamiętał (to wtedy w blaszanym garażu upał zagryzł dwa bulterierzy).

I to wszystko?

Wszystko. Chłopcy są za mali, by uwierzyć,  
że jest dziś, a dalej nic, karmienie gliną.

Wiesz, że zabójcy dostają od kobiet setki listów?  
(nigdy odwrotnie, nikt nie pisze do mamy Madzi z Sosnowca).

Mariusz T. pragnie zabrać ukochaną w podróż. Tam, gdzie w środku czerwca rośnie las, pod mchem włosy. Ona w słomkowym kapeluszu podziwia, jak mężczyzna subtelnie oddaje drzenie powietrza w płucach, zjeżoną sierść starodrzewu. Jak zmysłowo maluje krwawnik, plamki soku z jeżyn.

# I NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

## KATARZYNA KADYJEWSKA

### NIEOCZYWISTA

wydała o dwadzieścia groszy za dużo  
na bilet tych tańszych zabrakło w kiosku  
nie miała drobnych do automatu  
- tak jest rozrzutna bezmyślna i utracjuszka  
poczucie winy kąsa jak strach przed rozliczeniem

zjadła ciastko i zostało jej to  
publicznie policzone  
- tak sama sobie jest winna  
mogła się odchudzać gruba dupa cielicha spaślak  
i nie powinna czuć upokorzenia bo to dla jej dobra

kiedy się kochali  
zamykał oczy i okrywał ją zdjętym z siebie podkoszulkiem  
- śmierdzisz - mawiał i szybko kończył  
- tak należało jej się poniżenie  
za mydło perfumy i epatowanie brzydota

chciała mieć rodzinę bała się rozstania  
ciągle straszył odejściem  
- tak to prawda zasługiwała na opuszczenie  
gnojara leniwe nieruchawe babsko nie chciało jej się  
myć po nim wanny i zbierać brudnych skarpetek z dywanu

po cholere jej były studia  
skoro i tak była nikiem głupią gęsią  
- tak to prawda zasrana pani magister nierób i pasożyt społeczny  
kto to widział dwa miesiące wakacji  
powinna zapierdalać osiem godzin łopata

- ta to ma szczęście - mawiały ofiary przemocy oczywistej jak śmierć -  
dobrze trafiła  
to takie fajne małżeństwo widać że się kochają  
nie zna sińców ran złamań upodlenia bólu  
wstydu przed sąsiadami

zawsze taka zadbana  
nie słyszeć krzyków  
żadnych bójek alkoholu policji  
- tak to jej wina wydziwia z tą depresją  
i duszą przemoc-zoną łzami

## RANNY ANIOŁ

upaść  
to się zdarza nawet aniołowi  
oślepił go blask złota  
rozbił się o kościół  
przyrznął głowę w świętą figurę  
i wykopyrtnął się na poświęconej ziemi

dziura w głowie  
(w niebie dziury raczej nie będzie)  
brak kilku piór  
(proboszcz chciał go oskubać)  
trochę krwi  
(czy brudu)  
zwiędłe kwiatki  
(dla Matki Boskiej Nieobecnej)

trzeba by na pogotowie  
ale kto podrzuci anioła  
albo chociaż wezwie karetkę  
skoro wszyscy śpieszą się na mszę

dwaj smarkacze bezbożni  
z dożywociem za wygląd wypisanym na twarzach  
złapali anioła  
wzięli jak swojego  
- oby do lekarza

## CIEMNONIEBIESKO

chyba nie wolno mi tu być pomyślała wchodząc  
weszła bo tęskniła  
nie potrzebowała się ogrzać  
weszła jak wchodzi się do domu po długiej podróży  
włokąc na łańcuchu tęsknoty głód i zmęczenie  
i zmęczenie tęsknotą  
i tęsknotę za głodem  
owinęła się przytulną cichością czekając  
na cud który się nie wydarzył choć było tak blisko  
bo ciemnoniebiesko  
i zegar połykał czas drobnymi kęsami  
postukując pracowicie dyskretnym młoteczką  
gdzieś z góry a może z prawej strony

patrzyła od niechcienia zastanawiając się kiedy  
rozłożą się ręce w macierzyńskim geście  
lub skórą na nią ale  
ktoś splamił półmrok światłem jęknęły niechętnie drzwi  
gdy ktoś inny potłukł ciszę w drobny mak  
obcasami

już nie miała tam czego szukać więc wyszła  
jak się wychodzi w ciemność  
gdy w słoneczny dzień śnieg  
plami białością barwy ciszy

## RAJ UTRACONY

w edenie było za dużo drzwi  
w przedpokoju  
krzyczały podłogi rozgniewane deptaniem  
i zaciął się ruszt w piecu  
rdzewiejącym z uporem  
za oknami śpiewały bażanty i samoloty  
gryzły źrenice trawy i stokrotki  
a kościelny dzwon płoszył grzeszników  
jak sarny

za bramą na jedyny klucz  
zostały zasuszone lzy  
i tłusta tęsknota tyjąca co dnia

pamiątka po utraconym raju ma białaczkę  
i nie umie mruzczyć

### III NAGRODA

## EWELINA KUŚKA

### JORG

przeglądał gazety jak kobietę z naprzeciwka.  
łudził się że ktoś myśli o nim jak o wierzchołku  
góry i że potrzeba wiele sprzętu bo okrywają go  
chmury przez które trudno się przedrzeć.

prawdziwy stawał się nad grobem psa w ogrodzie.  
kiedyś kopał do bramek. całował zdjęcie matki  
po drugiej stronie ściany. mawiał że dobro istnieje  
w dalekim świecie ale on go nie widział – chyba  
że ma piersi sąsiadki.

dobro mężczyzn istnieje jeśli są górami na  
płaskowyżach podbrzuszy. mówiąc to zawsze strząsał  
z siebie sierść psa zakopanego w ogrodzie. czekał na  
moment gdy burza złamie mu kości. wierzył że wtedy  
będzie żył prawdziwie jak artykuł w gazecie którą  
potem zużył by ogrzać się w zimowe wieczory.

## ZIGA

ubierał się w księżyc na wymiar. zasłaniał  
wilcze oczy kawałkiem ciemnego szkiełka.  
woził się wozem. przystawał odchyłał szkło  
i zaklinał ludzi do siódmego pokolenia.

dobrym znajomym uchylał zasłony choć  
sam patrzył przez szybkę. w ten sposób  
jego świat nabierał ciemnych barw. światło  
kaleczyło mu w głowie małą lampkę która  
w końcu przestała się zapalać.

gdy poznawał nową kobietę mawiał że  
w rupieciarni życia odnalazł perłę choć nadal  
tapła się w błocie. potem zasłaniał wilcze oczy  
kawałkiem szkiełka i ubierał się w księżyc.

uciekał wozem aż po krańce wszechświata  
niedaleko starej szopy gdzie przyszedł na świat  
pośród kobiecych krzyków i odchodów gołębi.



## SZTEFA

rzeka płynęła przez nią, mgła łaśliła się do stóp.  
słońce było książką z której czytała życie.  
podobno Jezus nie miał czasu czytać a mądrością  
przewyższał czasy przyszłe i przeszłe.

przewidywała że świat zboczy z kursu w momentach  
gdy gwiazdy brzęczały w ulu mlecznej drogi.  
z dalekich światel czytała o mieście gdzie wszyscy  
wiedzą o wszystkim. ona wiedziała o niczym.

urodziła się na wsi i umarła na wsi przybita jak  
przystało do krzyża choroby – tak zalecili lekarze  
i Jezus co miał w sobie mądrość wszystkich pokoleń.

## AGNES

mawia że jest szklanką do której  
mężczyźni dolewają wódki zmieszanej  
z żółcią. kiedyś wspięła się na drzewo  
i pofrunęła. od tego czasu władca tego  
świata zwodzi ją i daje znaki.

świat ją rzeźbi. praca jej nie hańbi ale  
mężczyźni którzy piszą pamiętniki na  
chmurach i kobiety które piszą skargi  
do innych kobiet

przez to wzrok miewa tępy. nie próbuje  
pokory. lepiej wypić za błędy niż o nich  
wspominać. bywa na zakrętach myśląc  
czasem co byłoby gdyby. mawia że macicę  
zawsze nosi w sobie ale człowiekiem  
nie zawsze chce bywać.

# I NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

## WIKTOR ORŁOWSKI

### SEN TRZECI. TWIERDZA

*Sen pierwszy.*

*Jadę starym samochodem mojego ojca. Wóz toczy się poprzez szare pustkowie; to ford galaxy o srebrnej karoserii, tata miał go, kiedy jeszcze chodziłam do liceum. Z lewego tylnego miejsca nie widzę, kto siedzi za kierownicą. Fotel pasażera zajmuje moja ciotka. Mocny lakier skleja jej jasny, złocisty kok.*

*- Dokąd jedziemy? - pytam, ale nikt nie odpowiada.*

*Zerkam do tyłu. W bagażniku leżą worki na śmieci: piętnaście, może trzydzieści litrów, takie niebiesko-fioletowe, z taśmą. Pachną intensywnie lawendą, chemiczną wonią truskawki, nadpsutym mięsem, czymś jakby gnijący owoc liczi. Z ciszy wyławiam szmer: w niektórych coś się porusza.*

*Worki upchnięto też w kieszeniach bocznych. Sięgam do najbliższej, plastikowy węzełek ślizga się w moich palcach.*

*W środku jest niemowlę. Pępowina, jak powróż okala jego kark.*

*Ciotka wykręca szyję, by na mnie spojrzeć.*

*- Ciii - szepcze z palcem na ustach. - One śpią.*

*Budzę się, gdy dostrzegam, że auta nikt nie prowadzi.*

\*

Łoskot przetacza się nad Nasypem, a ludzie w środku bezmyślnie, w odruchu stadnym zginają karki. Rozmowy milkną - to trzydzieści sekund klinicznej śmierci barowej; aż tutaj słyszę, jak grzechocze tanie szkło. Minęła dziesiąta, na zachód pojechał ostatni dzisiaj skład.

Strugi deszczu rozmywają latarniane światła. W drżącym *chiaroscuro* drzwi knajpy przypominają wrota piekła. Biały obrys kota unosi w lewej łapie kontur kieliszka - gdyby miał pysk, śmiałyby się szyderczo.

Popycham ciężkie skrzydło, wchodzę. Wita mnie gwar i czyjś ostry gwizd: Verus nawiguje mnie wzniesionym drinkiem przez bar.

Lubimy to miejsce. Jest tanie i czynne do późna, można sobie przynieść pizzę z Nocnego Gastro, a nazwy szotów smakują jak wstyd.

- Kogo tu wreszcie przywiało! - Żongler przygląda mi się spod rzęs. Wąski podbródek opiera na zwiniętej pięści. - Orzeł wylądował. Naliczam karnego szota za spóźnienie.

- Sorry, przez przypadek poszłam w inne miejsce.

Zdobyczna guma przylepia mi się do dolnych siekaczy.

Są już wszyscy: Chro i Kam, perła obcych krain, i Krzysztof wraz ze swoją zeskrobaną z Vermeera narzeczoną, Żongler, Verus, jest i Masiak, syn mój w słowie umiłowany, w którym mam upodobanie, a który wstaje teraz, żeby mnie objąć; ciepło cudzego ciała zamyka się wokół mnie niczym trumna.

- Będziesz coś pisała? - pyta.

Mam na ramieniu torebkę Wittchen z bordowej skóry. Jest ciężka.

- Słucham?

- Idę do baru. Pytałem, czy będziesz coś piła.

\*

Wychodząc z domu, zakładam maskę. Większość tych, które posiadam, ma czarno-biały nadruk ludzkiej twarzoczaszki - jest w tym pewna akuratność, która mnie bawi.

Za drzwiami biorę pierwszy głęboki wdech. Materiał wsysam w szczelinę ust, czuję smak detergentu, wiesz, już się przyzwyczaiłam: człowiekowi szybko powszednie jest dobre, bo jest dobre, a jeszcze szybciej złe - bo nie ma wyboru.

Idę w lewo, a potem raz jeszcze w lewo. Wzrokiem szukam kontrolki poziomu rzeczywistości, jest: na rogu Gepperta i placu Solnego krwawa błyskawica nabazgrana na murze o barwie nadmorskiego piasku. Chyba trochę wyblakła od stycznia. *C'est la vie*.

Skrećam w Ofiar Oświęcimskich. Natychmiast się kurczę, stawiam kolnierz płaszcza, niczym szczur przemykam pod ścianami domów. Mróz zelżał i od Przejścia Świdnickiego grasują aktywiści, a ja nie chcę dawać dychy na ginące pandy albo chłopca z dziecięcym porażeniem mózgowym, ja chcę tylko do Biedry, przepuście mnie.

W sklepie zsuwam maskę z nosa. Kobieta o zmęczonej twarzy wyklada skrzynki pełne twardych avocado. Spogląda na mnie z niechęcią.

Rozkład marketu znam lepiej niż kierownik, mogę to robić po omacku: cztery bułki, hummus naturalny, kostka sera półtłustego, łosoś wędzony, gałązka pomidorów i dzida do kasy, przy samoobsługowej kolejka, więc rezygnuję, idę do zwykłej. Błąd; staje za kobietą w płaszczu z bordowego tweedu, która wygląda jak wielki, mechaty skrzep.

- Może byśmy zachowały jakiś dystans? - warczy, a ja zaciskam się w sobie, coś we mnie się zaciska, pięści w kieszeniach, mięśniówka żołądka, zęby,

macica jakby; skurcz raptowny i bolesny, chyba zaczął mi się okres, a niech to zaleje krew.

Robię krok w tył.

- To wszystko?

Kasjerka musi powtórzyć dwa razy, nim usłyszę. Mrugam jak wyjęty z ziemi kret. Na ladzie leżą moje zakupy, skasowane w dodatku, a ja nie zauważyłam momentu, kiedy wyłożyłam je z koszyka.

- Czy to wszystko? - Kobieta przygląda mi się z rezerwą.

- Tak - odpowiadam.

Uśmiecham się przepraszająco, ale kasjerka mnie ignoruje.

- Dwadzieścia sześć dziewięćdziesiąt.

- Kartą.

Przed sklepem potykam się o żuła. Ma brodę jak Hagrid i mętne oczy pod nawisem spuchniętych powiek. Ma też psy; dwa kundle leżą obok siebie na kłębie zmiętych foliówek.

\*

Jest głośno i barowe szkło trzaska jak wybijane okna. Za ladą facet w spranej koszulce Motörhead uwija się niczym sturękie hinduskie bóstwo, a z głośników sączy się podkręcona na maksa Janis Joplin. Po drugiej stronie stołu Krzysztof opowiada o swojej książce. Panuje hałas, słyszę co ósme słowo, więc tylko obserwuję: w świetle okręconych drutem żarówek błyszczą się napięta skóra jego czoła.

Krzysztof ma cofniętą linię włosów, dobre pomysły i technicznie doskonały warsztat, a ja śledzę ruch jego warg i łuk unoszonych brwi, krzywiznę potylicy, i myślę, że jest na głowie miejsce, takie specjalne, gdzie należy walić ludzi tak zdolnych jak Krzysztof, aż pękną ich kości i wytryśnie gęsty, szaroszary mózg.

- Wik, a ty piszesz teraz coś? - pyta Żongler, a ja sztywnieję.

- Na Stryjewskiego.

- O proszę, fajnie. O czym?

O tym, że, kurwa, nie wiem o czym; początek kasowałam dwadzieścia siedem razy, a to, co czytasz, jest dwudziestą ósmą iteracją zgrzytu moich zębów, głos, który dyktował mi całe fragmenty i dialogi, od miesiący milczy, a ja się jego milczenia boję, stara i jest to wielki, jąttrzący trzewia strach; taki rodzaj przerażenia, kiedy o czwartej nad ranem kurczysz się, zakopana w betach, i twoje dłonie też kurczą się na pościeli. Palcami o zimnych opuszkach obmacujesz brak. Nie masz nic więcej do powiedzenia.

- Obyczajówka, takie autorefleksyjne trochę. Nie wiem, jak to opisać.

Masiek kręci głową.

– Skąd ty bierzesz pomysły na to wszystko?

Językiem przerzucam gumę z lewej dolnej szóstki na prawą stronę.

– Czasem coś mi się śni – mówię. – Dzieci jakieś. Psy.

\*

*Sen drugi.*

*Uroczę toskańskie miasteczko. Widzę je w nagłym przeblysku słońca: główna uliczka pnie się stromo ku zachodowi, a kocie łby z bazaltu lśnią oleiście. Kameralne knajpki splunęły na chodnik maleńkimi stolikami. Pachnie świeżym ristretto, sosem aioli i zwietrzałą jatką. W powietrzu krążą roje much. Jest bardzo cicho.*

*Nie ma w tym mieście żadnych ludzi oprócz mnie – myślę, wchodząc do najbliższej kawiarni – może zresztą w istocie nie ma tu człowieka.*

*Przy stoliku dwa psy siedzą pochylone nad misą ciastek cantuccini: chudy dalmatyńczyk z wytworknie zawiązaną serwetą i cocker spaniel o karmelowej sierści. Serweta podtrzymuje niedokładnie przerzębany psi kark. Spaniela rozpruto od pyska po różowe podbrzusze – siny język wypadł do białej filiżanki.*

*Opuszką palca dotykam blatu. Ciastka w misce trochę rozmiękły od krwi.*

*Coś skapuje mi na czoło i pachnie jak miedź. Podnoszę głowę, mrużę oczy w jaskrawym słońcu: są psy, wszędzie, na mansardach z pastelowego perkalu, rozprute, zwieszane z balustrad starych kamienic, zatknięte na latarniach, psy wykręcone, sine, obdarte ze skóry, psy zwęglone, opalone z sierści, psy, buldogi o rozdętych pyskach, z których oczy wypadły i teraz toczą się po obrusach jak kule sera burrata, rozmazując śluz; dogi rozwłócone na chodnikach, owczarki skurczone w agonii, sznaucery nabite na ogrodzeniowe szpice, a szpice otrute, smutne, o poczerniałych językach; jest cicho i jestem tu sama. Wokół mnie jedynie psy: konające, cierpiące, rozdęte zgnilizną.*

*Psy, psy, psy.*

\*

Minęła czwarta nad ranem, a ja nie mogę spać. Leżę na wznak, zaciskam i rozluźniam pięści. Czuję bicie mojego serca; czuję, jak całe moje ciało tętni. W skroniach i podbrzuszu ściska tępy ból. Medytuję, imaginuję sobie zapadanie się w rozkosznie ciepłe, miękkie bagno, ale sen nie nadchodzi. Bezsenność to pierwsze ogniwo sekwencji poznania braku.

Mój ojciec, kiedy byłam mała, miał dla mnie kilka mądrych lekcji. Najlepiej pamiętam tę, której udzielił mi, kiedy miałam osiem lat. To było w drugiej klasie podstawówki, pierwsza wycieczka szkolna do Częstochowy – serious shit, bo to pierwszy raz był, kiedy my, smarki ledwo od ziemi odrosłe,



Po opuszczeniu klatki od razu skręcam dwa razy w lewo. Płowej ściany trzyma się gryzmoł barwy rozbielonej krwi. Wgniatam ulotki w śnieg; ulice o tej porze są puste, nie ma tutaj żadnych ludzi oprócz mnie.

Może zresztą – myślę, naciągając maskę z nadrukiem czaszki – w istocie nie ma tu człowieka.

W sklepie kobieta, która wykłada avocado, przygląda mi się z niechęcią. Jak na autopilocie wrzucam produkty do koszyka i idę do kasy. Staruszka w płaszczu z czerwonego tweedu, który przypomina wielki, mechaty skrzep, odwraca się ku mnie.

– Może byśmy zachowały jakiś dystans? – syczy wściekle, a ja się zaciskam.

Zaciskam się w sobie. Zęby. Pięści w kieszeniach. Żołądek, skurczony nagle, palce o lodowatych opuszkach. Drżenie.

– A może pani, skoro na nieszczęście lokalnego mikroświata musi jeszcze żyć, przestanie być taką jątrzącą nienawistną kurwą? – cedzę. Stara nie reaguje. – Słyszysz mnie, ty pudło?

Jej mętne niebieskie oczy mnie nie widzą. Odwraca się, pakuje zakupy.

Trzęsą mi się ręce, kiedy wykładam produkty na taśmę. Kasjerka przygląda mi się z rezerwą.

– Czy to wszystko? – pyta.

Duszę się. Muszę zsunąć maskę z nosa.

– Nie, właściwie to nie – odpowiadam. – Moja jednostka właśnie została zdegradowana. Moje badania przez wirusa stoją, boję się, że nie skończę doktoratu. Boję się, że nawet jeśli go skończę, w zakładzie mnie nie zatrudnią. Moje życie zawodowe to rozciągnięte na przyszłe dwa lata, powolne umieranie.

– Rozumiem. Czy to wszystko?

O Boże.

– Tak, wszystko.

– Dwadzieścia sześć dziewięćdziesiąt.

– Kartą.

Przed sklepem potykam się o żula. Wrzeszczę, łapiąc równowagę, i po raz pierwszy myślę, żeby go zabić; rozważam tę opcję, wybieram, planuję, trwa to moment, a ja w myślach jestem już w OBI na Długiej i kupuję nóż do cięcia tapet.

Menel obserwuje mnie badawczo. Ma brodę jak Hagrid i przenikliwe oczy pod nawisem spuchniętych powiek. Ma też dwa psy. Leżą bez ruchu na kłębie niebiesko-fiołkowych worków, od których bije zapach lawendy oraz zgniłych owoców liczi.

– Ciii – szepcze żul, uniósłszy palec do ust. – One śpią.

Czuję miękkość w kolanach. Pospiesznie zgarniam z chodnika upuszczoną siatkę, odwracam się. Dogania mnie jego głos, dźwięczny, czysty jak szkło:



- I ty też już teraz śnisz.

Cofam się. Jego usta wykrzywia uśmiech – spodziewam się nagich, zaropiałych dziąseł, ale żul ma uzębienie kompletne i całkiem białe. Zaciera brudne, bardzo chude ręce.

- To bardzo niedobry sen, a ty śnisz go, kiedy za dużo pracujesz i masz kłopoty. Idź na Świebodzką, przyjrzyj się. Stoi tam twierdza ludzi, którzy wysnili swój ostatni sen. Przypatrz się jej uważnie. Niech twój umysł przejdzie jej obrazem.

\*

Jest późno i pijemy Zagranicznego Konsultanta. Zagraniczny Konsultant smakuje jak *blue curaçao* z nutą upokorzenia, trzeba go przełknąć, więc przełykam, w gardle pali gorycz: nie napiszemy nic choć w połowie tak dobrego, jak Zagraniczny Konsultant, ja nie napiszę z pewnością, może Krzysztof, może Krzysiu umiałby, *cesarz lodów bakaliowych, o jak ci dobrze w tej koronie*<sup>1</sup>. Może Kam by umiała.

- Kam! – wołam nad stołem, a ona podrywa głowę, kąci ust rozciąga w uśmiechu, tym jej hollywoodzkim, zaciskam pod stołem pięści; z czego ty się, kurwo, śmiejesz?

Kam wygląda jak dziecko Bardot i Bułhakowa, a ja śledzę ruch jej warg, kiedy unosi brwi i ze śmiechem pyta, czego chcę, a ja myślę: żeby ci upierdoliło ręce i mózg, tego chcę, tak żebyś pisać nie mogła, albo ewentualnie żebyś zdechła.

- Idę siku – mówię. – Pilnuj mi torebki.

W damskiej toalecie sufit pokrywa fototapeta. Przedstawia rzut z wnętrza grobu na zgromadzony przy krawędziach tłum żalobników. Ksiądz w czarnej sutannie sypie garść ziemi wprost na moją głowę. Jest w tym pewna akuratność, która mnie bawi.

\*

Kloszard patrzy badawczo. Jego dwa psy leżą bez ruchu na kłębie foliowych worków. Dostrzegam, że są ranne – większemu obcięto uszy oraz prawą przednią łapę – a wtedy dopada mnie znużenie. Chce mi się płakać.

Jakaż to jest niegodziwość – myślę – pokrzywdzić psa.

- Kim jesteś, że tu jesteś? – pyta mnie bezdomny. Brudnymi rękami wyjada liczy w syropie prosto z puszki.

Zastanawiam się przez chwilę.

- Autorem, którego nikt nie czyta.

---

1 Lombard – Diamentowa kula

- Nie martw się. Brak uznania jeszcze nikogo nie zabił.

Młaska. Owoce, które znikają w jego ustach, przypominają gałki oczne. Nagle upuszcza jeden, a mnie przez chwilę krótką jak tchnienie wydaje się, że to jego oko wypada i oto toczy się po bruku, niczym kulka sera burrata, rozmazując śluz.

- Prawda - odpowiadam spokojnie. - Nie bezpośrednio.

\*

„Pierdołę, nie umiem.” - postuję na Discordzie dla młodych autorów. Nakładam makijaż; rezerwację w knajpie mamy na dwudziestą.

„To już śmieszne nie jest. Umiesz. Koniec tematu, dziękuję, następny do wyjaśnienia proszę.”

A mnie jednak bawi, wiesz, trochę się śmieję, kiedy głaszczę Wiedźmę, mam ją na biurku stoi dala mi z Zielonej Góry za tamten konkurs dwa lata temu jest ciężka jakieś pięć kilo chyba waży z brązu i mogłaby rozbijać głowy następny do wyjaśnienia proszę.

\*

Sen trzeci.

Zakładam maskę i wychodzę z domu.

\*

Po opuszczeniu klatki biorę głęboki wdech. Skręcam w lewo, ale tylko raz - idę prosto, mijam Setkę, kieruję się ku przystankowi. Zaczęło padać, na Świdnickiej strugi deszczu rozmywają latarniane światła. W drżącym *chiaroscuro* dziewczyna z kolczykiem w wardze wygląda jak istota z piekła. Uśmiecha się szeroko, rozłożywszy ręce.

- Zakaz przejęcia dla ładnych dziewczyn w okularach! - woła. - Cześć, jestem Patrycja i razem możemy dziś zrobić coś dobrego. Popatrz na tego bohatera: ma na imię Franek i tylko osiem lat, a od urodzenia dzielnie walczy z bardzo ciężką choro...

- Życzę mu śmierci - mówię. - Życzę śmierci każdej istocie tego świata.

Odwracam się na pięcie, biegnę; okulary parują moim przyspieszonym oddechem, ślizgam się, nie widzę. Przewracam kogoś na mokry asfalt, ale nie odwracam się, biegnę, błoto pryska spod moich obcasów. Wreszcie zatrzymuję się. Zrywam maskę z twarzy, dysząc ciężko, rozpinam płaszcz.

Ulica Świebodzka. Przedemną jadowicie zielony szyld sklepu. Po lewej wznosi się twierdza.

Dygoczę. Widzę ją naraz od frontu i od boku, z góry, ze wszystkich kierunków: gmach z czerwonej cegły, okolony pętlami kolczastego drutu, krzyż postawiony w centrum miasta na wszystkich, którzy wysnili swój ostatni sen.

Pod bramą stoi zaparkowany radiowóz.

Ruszam się bezwiednie, szarpnię kłamkę lewych tylnych drzwi, wciskam do środka na trzecią. Oprócz mnie dwie bagiety – kierowca o twarzy dziecka, nie licząc może rudawej brody, i mężczyzna podobny do de Niro, z wielokrotnie łamanym nosem. Psy, psy, psy.

– Możemy pani jakoś pomóc? – pyta ten pierwszy.

– W zasadzie tak, gdybyście mnie teraz aresztowali i izolowali, ale że nie możecie tego zrobić bez przesłanek i nakazu, to w zasadzie nie, przesłanki i nakazy pojawią się zaś w momencie, w którym hipotetyczna możliwość udzielenia mi przez was pomocy stanie w jaskrawej sprzeczności ze stanem zastanym – wyrzucam z siebie na wydechu.

Obmacuję wnętrze samochodu, sprawdzam tapicerkę za fotelem kierowcy, schówek między przednimi siedzeniami. Żółć podchodzi mi do gardła, kiedy w kieszeni bocznej znajduję foliowe worki. W środku są tylko maseczki.

– Wybaczcie, mam teraz trochę ciężkie życie, a prawdziwie ciężko jest żyć ciężko, tylko Kunderę pokurwiło trochę, nie czytajcie go. Czytacie coś w ogóle, chłopaki? Bo ja za dużo czytam chyba i pracuję dużo. Bo to jest tak, że człowiek chce wiedzieć, jak wygląda świat, to się lampi w mikroskopy i wpierdala książki, na wolnym po dwie dziennie, i nagle widzi, że wcale nie jest od tego mądrzejszy, że łyknął Marka Aureliusza czy tam Jelinek, bo trzeba mu było oglądać Kubusia Puchatka i już by wiedział: to jest nie całkiem udany dom, ten kurwidolek, w sam raz dla nie całkiem udanych osłów.

Milknę. Funkcjonariusze przyglądają mi się bez wyrazu.

– Trzeba było oglądać Kubusia Puchatka i płakać – dodają już ciszej.  
– Płyńcie łzy moje, *cry me a river*. Powtórz „Płyńcie łzy moje” – każę temu, który wygląda jak de Niro.

– Płyńcie łzy moje – mówi policjant.

Śmieje się i otwieram drzwi. Zanim wysiądę, jeszcze pytam:

– Macie może gumę do żucia?

\*

A teraz jestem tutaj. Drinki palą jak wstyd, na zachód pojechał już ostatni dzisiejszy skład. Skulona na blacie żuję gumę, kompletnie już pozbawioną smaku. Opuszczam rękę i dotykam rozpiętej torebki, czuję skrzydło – ostra krawędź metalu, mój trzeci sen.

Ktoś szarpie mnie za ramię.

– Wiktor, nie rób krewetki!

– Mam dość – szepczę. – Wychodzę.

Patrzą po sobie przez moment.

– W sumie już trochę późno – mówi Krzysztof. – My też będziemy powoli lecieć.

Pod knajpą czekamy na ubera i taksówki. Cięży mi torebka Wittchen z bordowej skóry. Na schodach Teatru Polskiego leżą obalone manekiny o kształcie dzieci. Wciąż pada; coś skapuje mi na czoło i pachnie jak miedź. Butwieją kartony rzucone w rogu, *myślę – jesteśmy w szczurzym zaułku, gdzie zmarli ludzie pogubili kości*<sup>2</sup>.

– Wik, chcesz się zabrać z na...?

– Przejdę się.

Ruszam, moje obcasy zapadają się w śniegu i ja sama też się zapadam, rozpływam w nicości – to stan braku absolutnego: nie ma mnie; nie ma pragnień; nie ma marzeń; nie ma miłości, nie ma Boga; nie ma wiary; nie ma wstydu; nie ma spełnienia; nie ma rozpacz.

Są tylko twierdze – masywne i czarne, wbite w miasto; krzyże wzniesione ku niebu.

---

2 Jałowa Ziemia – II Partia Szachów – Elliot Thomas Stearns (tłum. aut.)

## II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

# ALEKSANDRA MAJZIŃSKA

### TRZY PALCE

Urodziłam się cztery dni po tym, jak Brygida ukradła nam indyczkę. Dlatego tak mam na imię. Może rodzice nie mogli wymyślić nic ciekawszego, a może zrobili to po to, żeby zaczarować Brygidę? Fakt, że od tamtej pory niczego już u nas nie ukradła. Tak przynajmniej mówiła starsza siostra.

To nie była zwykła indyczka, tylko taka kwoka, siedząca na jajkach. Dziewięć jaj z małymi indyczkami się wtedy przeziębilo.

Ojciec wyzywał i na cały regulator włączał „Chłop żywemu nie przepuści”. Zostało mu to na lata. Aż do dnia, kiedy nie wrócił z lasu. To znaczy wrócił, ale nie sam, policja go przyniosła.

Była jesień, wietrzna taka, że modliliśmy się, żeby nam dachu nie zwiało, bo nie byłoby komu naprawić. Brat matki wyjechał akurat na pogrzeb do Skierniewic i nic nie wskazywało na to, żeby miał wrócić przed Bożym Narodzeniem, a ojca od trzech dni w domu nie było, chociaż to i tak nie miało większego znaczenia, bo odkąd spadł z czereśni, to na żadne wysokości nie wchodził.

- Zapil pewnie – powiedziała mama, dorzucając drewno do pieca. Wszyscy już zdążyliśmy przywyknąć i do matki grzebiącej w palenisku, i do tych dwóch słów.

Za oknami gęstniał wieczór, wtorek musiał być, bo na kuchennym stole leżały pachnące bułki, całe 10 sztuk, a bułki do sklepu przywozili tylko we wtorki. Czekaliśmy na nie zawsze jak na świąteczną kolację. Akurat gdy mama ściągała aluminiową pokrywkę ze słoika z pasztetem, ktoś załomotał do drzwi w ganku.

Odór okrwawionego, zabłoconego i mokrego ciała zepsuł zapach białego pieczywa, bułki smakowały jak stęchły mech i nic nie pomogło wtykanie nosa w ich miękką miąższ, pozostawało tylko czekać całe siedem dni.

- Dokopał się – powiedziała wtedy mama. Do tych słów też byliśmy przyzwyczajeni, tylko, że dotąd matka zawsze mówiła *dokopiesz się*, a teraz zabrzmiało to jak spełniona przepowiednia.

Ojciec lubił kopać – psa, matkę i ziemię w rozwalonym pałacu, który stał w lesie pod Bobrownikami. Często chodziliśmy z nim na te wykopki, bo to się opłacało, do szkoły nie trzeba było iść. Matka się o to na ojca wściekała, ale on jej nie słuchał. Tylko jak wykopał piękną filiżankę albo coś innego, to darował to matce, a ona się uśmiechała i podnosiła swój kwiecisty fartuch do ust, tak jak dzieciak, który chce cukierka, a się wstydzi. Zamykali wtedy drzwi do pokoju i po chwili słychać było najpierw ciche pojękiwania matki, potem głośniejsze, w końcu krzyki: *Przestań! Przestań!*, ale kończył to wszystko dopiero donośny ryk ojca. Kiedyś liczyłam ile to wszystko trwa i strasznie szkoda mi było mamy, że tak krzyczy, bo to musiało ją chyba boleć, ale ona zawsze wychodziła z jakimś dziwnym wyrazem oczu, a ojciec na odchodne klepał ją po pośladkach, jak nasz sąsiad swoją klacz, gdy dobrze się ustawi przy dyszlu.

Za to kopanie ojciec dostawał od listonosza prawdziwe dolary, no nie za samo kopanie, ale za to, co wykopał.

Ale tym razem ojciec niczego się nie dokopał, tylko jemu dokopali. Kiedy wujek wrócił ze Skierniewic mówił, że to dlatego, że za dużo obiecywał, a za mało dawał. Ale to już nie miało znaczenia, bo dwa dni po policjantach przyszedł listonosz z zieloną kopertą. Chociaż nie, przyjechał na rowerze.

Zazdrościłam mu tego roweru okrutnie, bo ja miałam tylko trypy, które robiliśmy ze starszym bratem – to były takie duże koła zębate mocowane na długim drucie, które ryły ziemię jak szalone.

- Mogę się przejechać - pytałam zawsze listonosza i wiedziałam, co usłyszę, bo do tego właściwie też się przyzwyczaiłam.

- A przewieziesz mnie? - pytał i mrugał do mnie okiem. A potem siadał za mną na bagażniku i ruszaliśmy brukowaną drogą, odprowadzani szczeniem uwiązanego Ciapka, którego wszyscy nazywali Suką chociaż był psem. A kiedy mijaliśmy zakręt, listonosz wsadzał mi dwa palce w moje majtki, a pięć palców drugiej ręki w swoje. Aż do czarnego stawku, w którym mył ręce, kiedy było już po wszystkim.

Nigdy nie lubiłam zabawy w dom. Zawsze musiałam być mężem kuzynki i nigdy nie wiedziałam, co taki mąż powinien robić. Moja siostra była w tym lepsza, wkręcała żarówki tak na niby, sikała do puszki po groszku, żeby była woda do błotka. Błotko to było potem nasze jedzenie w domku. Tak na niby. Do puszki sikały wszystkie dzieciaki, bo zapotrzebowanie na błotko było duże. A wody w domu nie było. W tym wymyślonym i w tym prawdziwym też nie. Za to była pompa na podwórku. Od wiosny do jesieni pompowaliśmy wodę do dużych plastikowych beczek, wystawialiśmy na słońce, żeby się zagrzała i nadawała do mycia wieczorem. Zawsze była tylko letnia, bo studnia na po-

dwórku była głęboka. Tylko do kąpania bliźniaków dolewało się do cynkowej wanny gorącej wody z czajnika. Kiedy najstarsza siostra poszła w tango z Jasiem, naszym sezonowym lokatorem ze strychu, a bliźniaki leżały obrobione i rozwrzeszczane, ojciec wziął je za nogi i umył pod pompą. Wtedy to dopiero był ryk. A ja pomyślałam sobie, że dobrze im tak, bo zepsuły mój plan. Plan na podróż do Słupska komarkiem. Tak ojciec nazywał swój motorek z przyczepką.

Bo ja bardzo lubię podróżować. Gdziekolwiek, czy to do Zagórza na cmentarz, czy do Bobrownik na spęd z cielakiem, ale najbardziej chciałam pojechać do Słupska. Raz byłam tam z mamą. Poszłyśmy do baru przy Wojska Polskiego. Siedziałyśmy na bardzo wysokich stołkach i jadłyśmy flaki. To było fantastyczne. Ciągle o tym myślałam.

Jak ojciec za te swoje dolary kupił sobie komarka, to wiedziałam, że musi się udać. Pozwolę listonoszowi włożyć trzy place i poproszę, żeby dał ojcu dolary na benzynę. Zgodził się od razu.

Ale kiedy urodziły się bliźniaki, mój plan się zawalił, bo było nas za dużo, żebyśmy zmieścili się do przyczepki.

Po ich narodzinach mama zachorowała, bliźniakami zajmował się ten, kto akurat miał czas. Ja też. Potem ojciec sprzedał komara i było po zabawie. Za to mama doszła do siebie i zdążyła urodzić nam jeszcze jednego brata, który już na pewno nie zmieściłby się do przyczepki.

W tamtej zielonej kopercie przyszła do naszej mamy śmierć – oficjalne potwierdzenie śmierci ojca i nakaz opuszczenia lokalu mieszkalnego.

Listonosz spieszył się tego dnia: *Dużo listów, jesień już, zimno* – mówił wkładając trzy palce w moje majtki, a wszystkie pięć w swoje. Umowa to umowa.

Zresztą ja też się spieszyłam, był wtorek. I przyznam się, że zawsze jak już było po, to bardzo chciało mi się przytulić do mamy. Pedalowałam więc z całych sił.

W kuchni jednak mamy nie było, w piwnicy też nie. Otworzyłam drzwi do pokoju. Młodsze rodzeństwo bawiło się na tapczanie w obiad, to znaczy lepiło pierogi ze szczawiu zamiast ciasta.

- Gdzie mama?

- Poszła do obórki.

Dźwięk metalowej sztaby spłoszył koty spod drzwi, owce też się zerwały i zbiły w jednym rogu kojca. Tu też mamy nie było. I w ogóle już więcej mamy nie było.

A my musieliśmy opuścić nasz dom. Wszyscy się rozjechali, tylko mama trochę w inną stronę niż my – tak nam tłumaczył ksiądz, który przyszedł poświęcić trumnę z mamą. Dużo ludzi przyszło zobaczyć samobójczynię. Listonosz też. Tylko tym razem pieszo.



### III NAGRODA

## CZESŁAW MARKIEWICZ

### PRZEMEBLOWANIE

Rzadko wchodziłem na strych. Rzadko pomagałem matce rozwieszać bieliznę. Nigdy tam nie wszedłem z którymś z braci. Zanim odkryłem ukryte pod dachem tajemnice poprzedników, nie rozumiałem zaciekłości z jaką ojciec pozbywał się wszystkiego, co kojarzyło się z przeszłością domu. Tym bardziej, że zadomowił się tutaj z własnej woli, nie przesiedlany, nie wypędzany, nie repatriowany. Zrozumiałbym zaciekłość przesiedleńców zza Bugu: nie z własnej woli wstawiali cudze meble. Miałem wrażenie, że gdy weszli do poniemieckich kuchni, jeszcze parowały zostawione między fajerkami garnki, że w salonach dokańczali niedokończone śniadania, obiady, kolacje. Sąsiedzi wynosili na strych wszystko, co niepotrzebne, ale co mogło się przydać. Ojciec prawdopodobnie nigdy nie wszedł na strych. To, co według niego było niepotrzebne ładowało na śmietniku. Uparł się wychodzić na swoje, wyłącznie ze swoim. Za wszelką cenę pragnął oznaczyć swoim zapachem, myśleniem nowe miejsce na ziemi. Sąsiadom nie przeszkadzała wtórność otoczenia. Korzystali z pozostawionych zastaw stołowych, sztućców, miedzianych garnków, uzupełniając zastane meble modnymi meblościankami.

Jednak nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego i kto wyniósł na strych piękną szafę, inkrustowany stół, jedno krzesło z tapicerowanymi skórą oparciem i siedziskiem. Stały obok siebie, jakby sugerowały sposób meblowania części nieistniejącego pokoju w dolnych kondygnacjach kamienicy. Wojna światowa, tak jak umożliwiła poznanie rodzicom, której zawdzięczałem swoje poczęcie, była przyczyną mojej dziecięcej/dziecinnej fascynacji, zaprzyjaźnienia się z tymi trzema meblami.

Jak zwykle, jak w baśniach, największe emocje wzbudzała szafa. Moje i pewnie tylko moje emocje, co z biegiem czasu stawało się coraz bardziej kategoryczną wartością. Była dziwna, najpewniej w jakiś amatorski sposób przerobiona z banalnej bieliźniarki na pełnowymiarową, użyteczną szafę na ubrania. Obdarzona tylko jednym skrzydłem, co zmuszało konstruktora do zainstalowania solidnych zawiasów, na froncie z dwoma dość wielkimi

otworami przykrytymi perforowanymi blaszkami, z podłużnym, przytwierdzonym pionowo uchwytem; w przykurzonej poświacie poddasza otwory nierzeczywiście postrzegałem jako przewiercające wyobraźnię oczy, pionową kłameczkę z boku mogłem rozkojarzyć jako wykrzywiony w prawo bądź lewo, z mojej perspektywy nos; gdy przenosiłem tę abstrakcję na dół, tuż przed usnięciem, frontowe drzwi szafy stawały się ogromną sową, która z grymasem wykrzywionego nosa chciała coś ważnego powiedzieć. Wizja sowiej szafy powtarzała się za każdym razem, gdy pod jakimś pretekstem odwiedzałem ponemiecki lamus. Do czasu, gdy uświadomiłem sobie, że sowy, w odróżnieniu od papug, nie potrafią mówić. Wreszcie szafa przemówiła własnym, niezrozumiałym w żadnym języku głosem: „Jestem najstarsza z wstawionych cudzych mebli. Nie ruszyłam nigdy w świat. Przyszłam skądinąd. Swoją obecnością zdzieracie ponemiecką brunatność. Warstwa po warstwie. Niczego nie potraficie odczytać z linii papilarnych odbitych w obcych językach. Na wieszakach cienie wrogich mundurów, sukienek Gretchen. Mieszacie zastane odcienie. A najistotniejsze przekracza ranty. Ukrywa się za plecami. Jakby pokonywało granice czasu, jak idealnie zaokrąglone estakady bezpieczeństwa korników. Skazani na moją obecność nadużywacie wolnej woli, usprawiedliwiacie wszelką nieobecność, chociaż nie potraficie przetłumaczyć na własny język moich nocnych trzasków, mimowolnego otwierania w środku dnia, bo jeśli są trupy w środku, mówicie o nich „nieżywi”, bo „nieżywym” łatwiej się wybacza”.

Drugi w hierarchii nieużywanych artefaktów przeszłości był stół, ekumenicznie okrągły, z wygiętymi w kabłąki nogami, spowitymi u dołu krzyżem o równych ramionach. Największe wrażenie robił blat, inkrustowany nieregularnymi kawałkami drewna, które oglądane z wysokości ludzkiego spojrzenia układały się w misternie przemyślany wzór; nie potrafiłem rozróżniać gatunków drewna użytego do tej mozaiki, ani rozszyfrowywać do jakich kodów estetycznych, kulturowych nawiązywała. Niewielki, a jednak dzięki swojej okrągłości mógł zgromadzić wokół siebie z pewnością większą ilość domowników i gości, niż każdy inny prostokątny lub kwadratowy; brak kantów uniemożliwiał podział przysiadających na jakiegokolwiek symetryczne, bądź przeważające/wywyższające się rangą grupy. Był prawdopodobnie odświętny, bo jego wieloelementowy blat był pociągnięty grubą warstwą lakieru. Niestety, ciemność otoczenia nie pozwalała na odkrywanie plam, zadrapań, śladów korzystania z jego konsolacyjnych właściwości. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, robił wrażenie obcego, zdecydowanie nietutejszego, biorąc pod uwagę stoły/meble wstawiane przez przybyszów. Z czasem zaakceptowałem jego inność, tym bardziej, że coraz świadomiej rozumiałem, co ukrywa się pod pojęciem „tutejszość”; właśnie stół, później krzesło ze skórzanym siedziskiem, stawał się bardziej moją, odkrywaną i przyswajaną przeszłością, niż regularnie prostokątnie

i kwadratowo meblowana terazniejszość. Nie miałem pojęcia, że tak rozumiane „dziedzictwo” nie mieściło się w głowie ojca, ale także było w stu procentach niepoprawne politycznie. Mogłem sobie tylko wyobrazić rodzinną Wigilię przy tym stole. Formalnie był może za mały, ale w symbolicznych inkrustacjach nadawał się w całej swojej wielkiej, jak Europa, połaci. Nie ośmieliłem się nigdy go ożywić, choćby dziecięcym napomknięciem, żeby na jeden bożonarodzeniowy wieczór przenieść go do jadalni na parterze, a kiedy instynkt zastąpiły, utwierdzone choćby szkolną atmosferą i stosunkiem ojca do przeszłości, wątpliwości, mogłem bezkarnie posadzić przy nim lokatorów mojej wyobraźni, wstawiając stół, jego czułą obecność do wymyślanego rapularza: „Okragły. Wyznaje w kółko te same zdrewniałe prawdy. Równoważy ideały szafy, krzesła, Wigilii, Wielkiej Nocy. Nienaganny, jak niepokalanie matek. Godzi, jak ognisko, obrączka, wieniec na grobie. Wyokragła racje, chociaż nie wie, która noga lewa, która prawa, która się wyłamuje. Z czasem niestabilny, aż po niezagrażający życiu brzęk stołowych noży. Uczy pamięci z płam po herbacie, musztardy po obiedzie. Wyglądzony od świątecznych podniesień. Starzeje się najwolniej, ale najszybciej rozlicza ze śmierci, godząc się na coraz liczniejszą obecność pustych talerzy. Niezbędny jak koniec języka. Rozszyfrowuje głośnie milczenie, chociaż nie pamięta kiedy najbliżsi siedzieli wokoło, nie przekraczając granic pokoju. Skazuje na nieobliczalność drobin rozsypanego cukru, gładzenie ukrytego pod obrusem połysku, który w swojej wysokości najdosłowniej wchłania pamięć”.

Nikt z niższych kondygnacji rodzinnego domu nigdy nie zasiadł razem ze mną przy tym stole, chociaż długo przed wstawieniem go do niby dziennika, prowokowałem naiwnym gładzeniem blatu, na tyle infantylnym, że nawet duchy poprzednich użytkowników nie chciały/nie potrafiły mi towarzyszyć. Już przed przeprowadzką do dorosłej kawalerki bez historii, nękała mnie myśl, że moja/nasza adaptowana namacalnie przeszłość jest bezużyteczna, kurząca się w zaciemnionych miejscach odosobnienia: strychach, piwnicach, łamusach, komórkach, aż do chwili gdy zostały pozamieniane w industrialne mansardy, garaże, oranżerie. Zniknęła.

Krzesło przenieśliem do wyobraźni najpóźniej, o wiele za późno, dopiero gdy dotarła do mnie informacja o absurdalnej śmierci Hrabala. Chociaż próbowałem je uwznioślić, pozwalając imaginacji na śmiertelnie nieuzasadnione posadzenie na nim ojca w ostatecznej chwili życia; być może z nastoletnią naiwnością tak sobie wyobrażałem tron, na którym ojciec powinien zakończyć żywot, jak król/hetman nigdy nie pokonany przeze mnie w szachy; to ponieemieckie krzesło świetnie się nadawało; dziś mam wrażenie, że piękniejszego nie widziałem w tamtym i dotychczasowym życiu. Najdobitniejsze były nity, teraz powiedziałbym ćwieki, które przytwierdzały na amen skórę do siedzi-

ska i oparcia, były antycypacją punkowej estetyki. Nie rozstrzygając jakiegokolwiek hierarchii przemijania, nie wiedząc, w którym momencie dojrzewiania/starzenia, spersonalizowałem to obce/nie moje/nie nasze krzesło w nieistniejącym zapiśniku/wyobraźni: „Musi być posłuszne wstającym od stołu. Godzić się na odchodzenie w trakcie. Pasować do byłego. Funkcjonować po nowemu, jako ulubione osadzenie ojca. Odziedziczone po wygodnie usadowionych, z zanikami pamięci podczas odkurzania. Na nim powinien umierać ojciec. To byłoby najbardziej kameralne zderzenie czasu z przestrzenią”.

Tak, właśnie na tym krześle powinien umierać ojciec. Albo inaczej: powinien wspiąć się na to krzesło i wypaść przez okno, jak Hrabal, karmiąc gołębie. Ale ojciec nie przeczytał żadnej książki. I co z tego? Mógł przecież napisać choćby tę jedną. Przy okazji, na marginesie, bez entuzjazmu, powoli odkrywałem, że ojciec staje się, mimo mojej woli, głównym bohaterem mojej wyobraźni.

Z wielu powodów, w większości niezawinionych, najgroźniejsze były drzwi wejściowe/wyjściowe. Te wewnętrzne, ojciec powymieniał albo w czasach mojej niepamięci, albo jeszcze w czasie mojej naturalnej nieobecności. Dzięki temu, że ich los nie zależał od jego obsesji, ocalały. Były ostatnim elementem łączącym moją nieokulbaczoną resentymentami wyobraźnię z rzeczywistością. Bez zbędnego wysiłku podsłuchiwanie słyszałem wiele razy, jak starsi domownicy, bliżsi i dalsi sąsiedzi rozmawiali o niezrozumiałych dla mnie „właścicielskich powrotach”. W tonie tych rozmów wyczuwałem równie niezrozumiały lęk, dorośli z jakiejś przyczyny czegoś się obawiali. Znacznie później zrozumiałem, o co chodzi, dlaczego ich szept nigdy nie zamienił się w krzyk; nigdy, nikt w obcym języku nie upomniał się choćby o te kilka mebli próchniejących na strychu. Nigdy żaden niemiecki domownik nie zamachnął się na wyroki historii. Drzwi wpisałem do wymyślonego pamiętnika zaraz po przeprowadzce do socrealistycznej kawalerki w centrum, najprawdopodobniej już po śmierci pierwszych właścicieli, z przekonaniem, że po porąbaniu wszystkiego co materialnie obce, nieśmiertelne pozostaną zmysły, chociaż drzwi można zawsze zaryglować niepamięcią, dla mnie pozostały na zawsze przezroczyście: „Nie zamykaliśmy ich na noc, żeby nikt gwałtownie czegoś po drodze nie wyważył. Bosymi stopami wylizywaliśmy próg. Obce duchy coś chciały powiedzieć, ale nie rozumieliśmy zmowy umarłych. Innych i swoich krzyży nie wieszaliśmy pod wyjściowym sufitem. Umieraliśmy w strachu przed zamkniętymi drzwiami, że zamiast swojskich duchów nieśmiertelnie groźniejszy będzie zapach nietutejszego potu”.

Pod koniec ubiegłego wieku, w czasach mody na adaptowanie wszelkich poddaszy i nasz pierwotnie podzielony strych, najpierw skonsolidowany, w efekcie, jako jednorodna przestrzeń, zamienił się w luksusowe, imitujące

nowoczesny loft, mieszkanie. Pojawili się nowi lokatorzy. „Obcy”. Moja sofa, krzesło i stół nie pasowały do ponowoczesnej koncepcji, chociaż patrząc na symboliczne, w każdym wymiarze, drzazgi poniemieckich pozostałości wrzucone do odpadkowego kontenera, uległem urojeniu, że te trzy meble pasowałyby do równie modnego stylu vintage. Jednak w ten osobliwie wyrafinowany sposób moje symboliczne/macosz/adoptowane dziedzictwo wylądowało na archetypicznym śmietniku.

Nie wszystko albo wszystko „nie całkiem” zostało unicestwione. Któregoś lata, odwiedzając rodziców, przyłapałem nowego lokatora, młodego mężczyznę z dreadami na głowie, operującego przy wystawionych drzwiach wejściowych: małymi dłutkami, po uprzednim, cięższym zderzeniu starych i starszych warstw farb, usuwał resztki zaległe w rowkach, stylowych wyźłobieniach; przywracał, realnie, nie symbolicznie, pierwotny wygląd nie swojemu „domowemu wejściu”, ustanawiając je swoim. Na chwilę poczułem się znowu udomowiony.

# NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI LĘBORSKIEJ

## DOROTA SYSIK

### PUNKT ZWROTNY

Od dłuższego czasu zbierała się w sobie. Minął pierwszy dzień, potem drugi, a potem trzeci. Kolejny nadchodził, ale nic nie wskazywało na to, żeby mógł zaowocować zmianami. Jakimikolwiek. Nieważne, czy na lepsze, czy wręcz przeciwnie. W tej chwili najistotniejsze było to, żeby w ogóle ruszyć z miejsca.

Od trzech miesięcy nie wzięła pióra do ręki. Utknęła w martwym punkcie. Oczywiście nie sama. Za swoje jedyne towarzystwo miała bohaterów kolejnej historii, która jakoś nie chciała się dalej pisać. To, że coś musi zrobić, wiedziała od dawna. Problem tkwił jednak w tym, że nie wiedziała co. Przynajmniej do czasu.

\*

- Przepraszam, mogę się przysiąść?

Trzy pary oczu wystające znad obrzydliwie brudnych maseczek, patrzyły na nią zdumionym i dość mętным wzrokiem. „Panowie” bez zbędnej dyskusji posunęli się, robiąc tym samym dla niej miejsce na przysklepowym murku.

Od dłuższego czasu miała na nich oko. Wyglądali na obeznanych z tematem. Wzięła głęboki oddech i na wyjątkowo długim wydechu wygłosiła przemowę:

- Mam do panów sprawę. Potrzebuję waszej pomocy. Wyglądacie na bardzo kompetentnych i wiarygodnych w dziedzinie, która mnie interesuje. Oczywiście nie za darmo, ma się rozumieć.

Patrzyli na nią, jak na istotę z innej planety. W końcu siedzący tuż obok żul, odezwał się nieco ochryłym głosem.

- A, w czym to możemy służyć szanownej pani.

- Chciałabym skonsultować się z panami w pewnej sprawie.

- Eee... jakie my pany. Ja Zdzychu jestem. Ten tu, to Kazik, a tamten chudy, to Kostek.

Przemknęło jej przez myśl, że ten ostatni idealnie ma dobrane imię do wyglądu. Nowi znajomi wyciągnęli rękę na przywitanie.

„Boże, jak nic od nich nie złapię, to będzie cud” – pomyślała.

Wiedziała, że musi ogarnąć temat bardzo szybko, bo inaczej nie wytrzyma i zwymiotuje prosto pod swoje nogi. Od dzieciństwa miała problem z zapachami. Właściwie to nie wiedziała, czego bardziej nie znosi: wyperfumowanych damulek i lalusi, czy cuchnących alkoholem oraz zwykłym pospolitym smrodem obywateli trzeciej kategorii. Jednak, to właśnie u nich teraz szukała pomocy.

Zdzichu, Kazik i Kostek patrzyli na nią zachęcająco, od czasu do czasu podając sobie butelkę z piwem. Również i jej po koleżeńsku zaproponowali kolejkę. Grzecznie podziękowała tłumacząc, że przecież nie może, ponieważ przyjechała samochodem. „Panowie” nie przejęli się tym zupełnie.

W końcu zaczęła mówić. Naprawdę planowała krótko i rzeczowo streścić im tę historię. Na co liczyła? Może na to, że poddadzą jej jakąś „złotą myśl”, albo wręcz przeciwnie wyśmieją i skrytykują. Najgorsze było to, że wcale się nie odzywali. Nawet nie była pewna, czy w ogóle jej słuchają. Im więcej odsłaniała wątków opowieści, tym bardziej kręcili się na murku, tak jak dzieciaki, które nie mogą już usiedzieć na jednym miejscu. W końcu pierwszy odezwał się Zdzich.

- Zaraz, zaraz, po co k-wa oddawał hajs staremu? Normalnie miałby na flaszkę, co nie chłopaki?

- No, niby tak. Ale on chciał zrobić dobry uczynek, bo mu Anioł powiedział, że niedługo umrze. Potrzebował nałapać bonusów, no wiecie, żeby przedłużyć życie.

- Miał delirkę. Ja jak kiedyś zachlałem, to diabła widziałem. Zesrałem się ze strachu.

- Ty Kazek, k-wa ciągle zesrany chodzisz.

- Stul gębę durniu! Daj pani mówić.

- Powierzył portfel chłopcu, bo jako recydywa miałby kłopot, gdyby go patrol zgarwał.

„Panowie” kiwnęli głowami ze zrozumieniem.

- Ale dzieciak też potrzebował kasy i dopiero, gdy matka znalazła portmonetkę, to poszedł oddać staruszkowi.

Czuła, że dość mocno zamotała się w swojej opowieści. Musiała wyjść na prostą i to jak najszybciej.

- Bo mi chodzi o to, czy ten bezdomny facet, alkoholik jest w stanie się zmienić? – wyrzuciła z siebie pytanie do trzech „kumpli po fachu” fikcyjnego bohatera jej niedoszłej powieści.

Pokiwali przecząco głowami.

- Ale on naprawdę tego chce – próbowała ich przekonać, że może jednak jest jakiś cień szansy. – Bardzo tęskni za żoną i synkiem.

- To k-wa, dlaczego do nich nie wróci?

- Bo nie wie gdzie są. Poza tym, żona nie chce go widzieć po tym, co zrobił.

- A co zrobił? – spytali jednocześnie.

- Wyszedł do apteki po leki dla synka, spotkał kolegów i poszedł w długą. Przegrał w karty ostatni grosz i spił się jak świnia. A jak wrócił po trzech dniach, zastał puste mieszkanie.

- A to kawał drania – skwitował Kazek.

- A ten chłopak od portfela, co z nim? – siedzący na samym końcu i wyglądający jak śmierć Kostek, z ponurą miną zadał kolejne pytanie.

- Dzieciak ma na imię Rafał i szuka swego ojca. Na początku ma nadzieję, że jest nim Krzychu. Bo wiecie, jak był mały, to matka powiedziała mu, że jego ojciec jest żulem i łązi gdzieś po świecie. I on myślał, że ma tatę podróżnika.

Dwóch ze słuchaczy ryknęło śmiechem. Tylko Konstanty patrzył niewidzącym wzrokiem prosto przed siebie.

- Dopiero znacznie później zrozumiał kim jest jego ojciec.

- To po co, k-wa szukał starego?

- Może dlatego, że wyszedł z założenia, że lepszy taki niż żaden...

Mężczyźni ponownie pokiwali z dezaprobatą głowami.

- I wiecie, chłopak poprosił o pomoc takich gości jak wy. Tylko, że oni ciągle go oszukiwali. Brali kasę i niby szukali, ale to była ściema, a młody popadał w coraz większe tarapaty.

- Durny dzieciak. Nie wiedział, że takim jak my się nie ufa?

Grobowy głos siedzącego na końcu bezdomnego potwierdził jej obawy.

- Wiedział, ale ciągle miał nadzieję...

- Czemu k-wa, za przeproszeniem, ten Krzych mu nie pomógł?

- Bo zniknął. Próbował się zmienić. Nawet poszedł do AA.

Znowu zaczęli się śmiać.

- Co was tak śmieszy? – zapytała zniesmaczona ich zachowaniem.

- I co, pomogło? – siedzący najbliżej Zdzichu chuchnął jej prosto w twarz.

- A właśnie, że na początku tak. Wrócił do matki i miał dobre chęci, ale wtedy coś się stało.

Spojrzeli na nią z większym zainteresowaniem.

- Co?

- On wiedział, że matka spotyka się z jego żoną i dzieckiem. Zaczął ją śledzić. W końcu zobaczył ich w ciastkarni, jak sobie piją kawę. Tylko, że zamiast syna, obok jego żony siedziała kilkuletnia dziewczynka.



- Stara zaszalała. Wiedziałem – Zdzich zaklął tak szpetnie, że aż przechodzący obok ludzie spojrzeli na „murkowie” towarzystwo z dezaprobatą.

- Momencik, a czy nie miała prawa ułożyć sobie życia, po tym wszystkim co z nim przeszła?

Tym razem nie odpowiedzieli. Coraz bardziej kręcili się zniecierpliwieni. Musiała sprawnie skończyć rozmowę.

- W każdym razie znowu zaczął pić i chciał się nawet powiesić. Ale mu nie wyszło, bo Anioł go uratował. Niemniej jednak, jego czas i tak się już powoli kończył.

Wyglądało na to, że jej także. Widziała, jak obserwują łakomym wzrokiem potencjalnych klientów, pchających wózki pełne wszelkiego dobra. Czuli, że pozbawia ich świeżego zastrzyku gotówki.

- Powiedźcie mi szczerze, co byście zrobili na miejscu Krzycha, wiedząc że za pół roku umrzecie?

- K-wa, napilibyśmy się.

- Nie chcielibyście zacząć od nowa?

- Eee, po co? To i tak wszystko gównieście.

- A chłopak? Powinien znaleźć ojca? – chwyciła się tego pytania, jak ostatniej deski ratunku.

- Nie. Bo i po co? Od takich jak my niech spier..., bo go wycyckają na amen.

Podziękowała za rozmowę i żeby zrekompensować straty w interesach, każdemu z nich dała po dwie dychy.

\*

Była załamana, wściekła i zła na samą siebie. Ot, se pogadała. Wróciła rozgoryczona do domu, chwyciła zeszyt i cisnęła do śmietnika.

W nosie ma tę całą historię. Myślała, że ci bezdomni jej pomogą, zainspirowują. O święta naiwności! Tymczasem czuła się jeszcze bardziej zdołowana (o ile to w ogóle było możliwe), niż przed spotkaniem z nimi.

Zrzuciła prześmierdłe ubrania, wskoczyła w dres i chwyciła za ściere. Ogarzył ją szal sprzątań. To była jej ucieczka od wszelkiego rodzaju problemów. Dobrzy znajomi wiedzieli, że kiedy ma mieszkanie „na błysk”, jest w dołku. Kiedy już pozbyła się ostatniego paproszka i kłaczka kurzu, zmęczona usiadła w fotelu. O nie, nie była zadowolona, tylko... głodna. Otworzyła lodówkę. Akurat w niej nie było co sprzątać, bo ta (o ironio losu), była wyczyszczona niemal ze wszystkiego.

Nie mając w domu już nic do roboty, zebrała się w sobie i wyruszyła na WIELKIE ZAKUPY. Idąc do auta, po drodze cisnęła worek ze śmieciami do prawie wypełnionego po brzegi kontenera.

W markecie pakowała do wózka co jej „włazło” pod rękę. W połowie sklepu nie miała już siły pchać wypchanego różnościami kosza. Na domiar złego, co chwilę musiała podnosić spadające „to i owo” z koszykowej, całkiem sporej górki. Ledwie dojechała do kasy. Kątem oka dostrzegała spojrzenia innych klientów. Jedne rozbawione, inne kpiące, albo takie w stylu „zglupiała baba”. Przejście przez kasę, to był prawdziwy Armagedon. Towar nie mieścił się na taśmie. Najdziwniejsze jednak było to, że górka w koszu przed kasą, zrobiła się górą po skasowaniu i to z osuwiskami. Na koniec oczywiście nie mogła znaleźć karty kredytowej. Dopiero, gdy w rozpaczy wysypała zawartość torebki na przysłowiową ladę, wygrzebała w stosie różnych „przydasi”, to czego tak długo szukała. Stojący za nią klienci odetchnęli z ulgą. Pozostało tylko dotrzeć do samochodu.

\*

Zaszedł ją od tyłu. Kiedy dotknął jej ramienia, przestraszyła się.

- Pomogę – powiedział ochrypłym głosem.

W zasadzie powinna być mu wdzięczna, ale nie wiedzieć czemu czuła się skrzepowana jego obecnością.

Jeden z trójki porannych słuchaczy kroczył tuż przy niej, co chwilę podnosząc z ziemi „umykające” z wózka zakupy. Rzeczywiście sprawnie wypakował i umiejętnie poukładał w bagażniku, to co jej przyszło do głowy załadować do kosza. W pierwszej chwili pomyślała, że musiał „polować” na jej wózek i nawet chciała dorzucić mu parę groszy gratisu. On jednak pokręcił głową.

- Panie Konstanty, proszę niech pan weźmie. Należy się panu.

Spojrzał na nią spod czapki, wyciągnął rękę i mocno ścisnął jej bark. Zabolalo.

- Uda mu się. Rozumie pani?!

Chrapliwy głos mężczyzny przyspieszył jej zdolność logicznego myślenia.

- Puść człowieku! To boli! – krzyknęła zdenerwowana.

Spojrzała na niego. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Patrzyły na nią oczy, w których dostrzegała upór i dzikość. Jednak pod tym wszystkim, gdzieś na samym dnie, krył się bezbrzeżny smutek.

- Niech pani obieca.

- Obiecuję.

W tej chwili obiecałaby mu wszystko, czego by zechciał.

Wreszcie uwolnił ją ze swego uścisku.

- A dziewczynka? – zapytała.

- To jego dziecko, tylko on o tym nie wie.

- A Rafał, ten chłopak, ma znaleźć ojca?

- Ja chciałbym, aby mój syn mnie odnalazł i ... wybaczył.

Naciągnął czapkę na oczy, odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Nie wiedziała co o tym wszystkim myśleć. W zasadzie zamknęła temat. Rękopis przecież wrzuciła do osiedlowego śmietnika. Cały czas miała przed oczami wyraz oczu mężczyzny. Dlaczego był tak bardzo zdeterminowany? Dlaczego zależało mu na dobrym zakończeniu? Kim był? Ale nie teraz, tylko kiedyś? Czy miał rodzinę? Co się wydarzyło, że wylądował na ulicy? I po jaką cholereę obiecała mu dobre zakończenie? Tak, obiecała. Ale słowo dane pod przymusem, to żadne słowo. Nic nie musi. A jednak...

\*

Jechała nerwowo. Zbyt szybko. Jakby bojąc się, że przy jej życiowym pechu śmieciarka zdąży wywieść niedokończoną opowieść w silną dal. Jeszcze ciągle miała szansę ją odzyskać.

- No nie! - przyhamowała gwałtownie. - Ty dumny kocie, nie wiesz, że mogłam z ciebie zrobić mokry placek?!

Kot czmychnął na drugą stronę ulicy, niewiele sobie robiąc z jej złorzeczeń.

Zazwyczaj droga powrotna do domu wydawała się zawsze szybsza i krótsza. Jednak nie tym razem. Jeszcze nigdy tak długo nie wlokła się w korku. Zamiast, jak zwykle nucić sobie ulubioną relaksacyjną melodię, zła jak bąk, liczyła najpierw do dziesięciu, potem do stu, aż w końcu zrezygnowana sypnęła niecenzuralną wiązką, pomstując na cały świat. Oczywiście, pod blokiem spotkała ją kolejna złośliwość losu. JEJ ulubione miejsce do parkowania było zajęte. Przecież wszyscy wiedzieli, że tylko ONA tam zawsze staje i nikt inny nigdy nie śmiał tam się zatrzymywać. Nie, żeby je wykupiła, czy coś. Ono się jej po prostu należało. To było trochę tak, jak z mieszkaniem przez zasiedzenie. To miejsce parkingowe od lat było JEJ przez „zajechanie” i przez „zastanie”. Niechybnie weszłaby na wojenną ścieżkę z właścicielem auta, gdyby nie to, że musiała obskoczyć śmietnik w poszukiwaniu wyrzuconego kajetu.

Zadowolona się miejscem przy blokowych kontenerach. Akurat tam nikt nie lubił parkować z powodu unoszących się aromatów. Wysiadłszy z samochodu, dyskretnie rozejrzała się. Na szczęście nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Większością swojego ciała zanurkowała w śmietniku. Z takim zapalem grzebała w workach, które praktycznie nie różniły się niczym, że nie zauważyła sąsiada spod czwórki. Podskoczyła na dźwięk jego głosu, uderzając się przy tym dość mocno w głowę.

- Dzień dobry. Może mogę w czymś pomóc?

- Nieee, nie trzeba.

Jakże byłaby wdzięczna Panu Bogu, gdyby właśnie teraz nastąpił koniec świata. Zdaje się jednak, że Pan Bóg miał inne plany. To nie był jej szczęśliwy dzień i nic takiego się nie wydarzyło.

- Zgubiłam coś.

- Aaa - sąsiad mruknął pod nosem i dorzucił kolejny taki sam worek. Machnął ręką i pukając się ostentacyjnie w czoło, poszedł do domu.

- Ładny gnój - westchnęła.

Pozostała jej już ostatnia deska ratunku.

- No dobra. Święty Antoni, pomóż proszę.

W przypadku zagubionych kluczy zawsze działało. Miała więc nadzieję, że taki mały zeszycik nie sprawi mu wielkiej różnicy.

- No weź, nie bądź taki.

Jej babcia zawsze powtarzała: „Jeśli cudów szukasz idź do Antoniego”.

- To tylko jeden brulion, zlituj się chłopie.

I właśnie wtedy jej dłoń trafiła na coś w twardej oprawie. Poplamiony, śmierdzący, z brudnymi kartkami, ale był.

- Dzięki - wyszeptęła.

\*

Zanim wypakowała swoje miesięczne zapasy jedzenia i różne różności, które nie wiedzieć czemu znalazły się najpierw w jej koszu, a potem w mieszkaniu, musiała skorzystać z kąpieli.

Wypucowana, najedzona i zupełnie zadowolona usiadła w fotelu. Sięgnęła po pióro i zamknęła oczy. Zrelaksowana, głęboko odetchnęła i zaczęła pisać.

„Śledził je. Za wszelką cenę musiał wiedzieć, gdzie mieszkają. Poza tym tak bardzo chciał zobaczyć syna. Wiedział, że dzieciak go nie pozna. Akurat tego się nie bał. O wiele bardziej przerażało go to, że to on nie rozpozna własnego dziecka. Ukradkiem przyglądał się żonie. Nadal była piękną i atrakcyjną kobietą. O tak, doskonale pamiętał ten dzień, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Ziemia zadrżała mu pod stopami, a świat zawirował. Od tamtej chwili nic już nigdy nie było takie samo. Gdyby tylko mógł cofnąć czas..., ale nie mógł. Zresztą miał go coraz mniej...”

Westchnęła i spojrzała na zegar. Już dawno minęła północ. Przez ostatni miesiąc, nie żyła tak intensywnie jak dzisiaj. Ba! Kto wie, czy w ogóle kiedykolwiek żyła tak naprawdę! Może i ona potrzebowała jakiegoś punktu zwrotnego? Podświadomie czuła, że właśnie przyszedł ten moment. Czas na zmiany.

Lubiła pisać. Nie wiedzieć czemu prawie wszystkie jej historie kończyły się tragicznie, źle, albo bardzo smutno. Jakoś nigdy nie potrafiła zakończyć w stylu: „żyli długo i szczęśliwie”. Bo przecież, żeby napisać dobre zakończenie,

trzeba najpierw w nie uwierzyć. A ona nie wierzyła. Odkąd sięgała pamięcią zawsze była sceptykiem. „To się nie uda”, przylgnęło do niej niemal jak drugie imię. Nie angażowała się uczuciowo. Wychodziła z założenia, że nie warto pakować się w nieszczęście. Nie miała zamiaru tak, jak jej matka zostać porzuconą z małym dzieckiem, bez środków do życia. Świadomie i bez szczególnych emocji wybrała właśnie taką drogę. Czy była szczęśliwa? Może i nie, ale specjalnie nieszczęśliwa też nie była. Uznała, że tak jest okey.

I właśnie dziś coś się wydarzyło. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego teraz, po tak długim okresie niemocy twórczej, nagle zapragnęła zmian i to zmian w swoim życiu.

Ciągle jeszcze czuła na ramieniu mocny uścisk wyglądającego jak śmierć Konstantego. Kto wie, czy to właśnie jemu nie zawdzięczała swego „przebudzenia”.

W głowie ułożyła plan. Był prosty.

Po pierwsze: Rafał znajdzie ojca.

Po drugie: Żona przebaczy Krzychowi i przygarnie go.

Po trzecie: Konstanty wróci do rodziny.

Po czwarte: Ona znajdzie sobie zaręczystego faceta i urodzi dziecko.

I do cholery, wszyscy będą wreszcie bardzo szczęśliwi!

Obrazy i myśli mieszały jej się coraz bardziej i bardziej. Pomału odpływała w ramiona Morfeusza.

- W sumie, to był dobry dzień – pomyślała zasypiając.

WYRÓŻNIENIE BURMISTRZA  
MIASTA LĘBORKA

EWA KRZEMIŃSKA

\* \* \*

rano i wieczorem  
jej kobiecość  
ciasno zawinięta w ręcznik

niech wyschnie  
niech siedzi cicho  
niech będzie czysta

żyłki nie pękajcie  
uda bądźcie twarde

plecy nie uginajcie się  
myśli bądźcie po myśli  
uczucia bójcie się bezczucia

poczekajcie  
na spóźnione motyle

\* \* \*

odmieniam ją przez przypadki  
analizuję słowotwórczo  
robię z niej podmiot gramatyczny  
wciskam w cudzysłów  
zamykam w słowniku  
wtrącam ją w nawias  
dzielę na sylaby mi mi mi  
przecinam przecinkami  
wyrzucam na margines  
zawstydzam wykrzyknikiem  
a ona jest cierpliwa i łaskawa  
nie unosi się gniewem  
wszystko przetrzyma  
a skandalistka poetka  
poetka od serca  
głosi  
że można żyć bez powietrza

## PIOSENKA O KOŃCU PANDEMII

a po drugiej stronie ulicy  
naprzeciw  
wymacanej kapusty  
nieobliczalnego kopru  
nowo narodzonej cukinii  
włoszczyzny w okowach  
zmarszczonej rzodkiewki  
tuż obok  
potoku słów bez znaczenia  
gdzie brodzi i bredzi ludzkie pojęcie  
nieopodal  
faceta z wiejskimi jajami

## BAR POD KROKODYLEM

codzienny przegląd prasy  
z aneksem wieszczenia  
profeta w kapeluszu pilnuje butelki  
proszę pana  
dżinn już dawno zasnął

w barze pod krokodylem  
w barze pod krokodylem



\* \* \*

szukam  
wyszukanej metafory  
hiperboli za dużej  
o trzy rozmiary  
anafory powtarzanej  
w kółko do znudzenia  
apostrofy nadętej patosem  
puenty rzucającej na kolana  
by opowiedzieć o lęku  
i oto  
znajduję człowieka  
któremu też brakuje słów  
pogadamy

# NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

## ADELA KUIK-KALINOWSKA

### SPÓZNIONÉ LATO

Lato, jaczé më mielë tegò rokù  
bëło pò prowdze bòkadné.  
Snopë żëta ùdzinalë sã w pas,  
serzpë smùlëlë sã do żniwny òkrasë,  
a jich złoti pòlmiasc  
jak w szpégłu  
òdbijòł słuńce pòlniowégò swiata.  
Dzòtcki w lasach sedzałë jak trusë  
i w kùbłuszczu zbiéralë jagòdë.  
A Gréta i Frãnc rëchtowelë nama psotë.  
Òbòje dwòje wlezlë na chójka  
i z górë cëskelë prosto w cënowóny wãbòrk  
zeloné jak lëstë klëwru chójkòwé szëszczy.  
Tegò bë sã nìcht nie spòdzëwòł,  
nòmni dzòtcki.  
Nìcht bë nie pòmëslòł, że za dwie,  
a mòże trzë minutë  
niebò bądze czòrné jak kùgłë òłowiu,  
czej na rëbë wãdkã chce sã zarzucëc.  
Smiechè na gãbach ùstalë,  
szëszczy z nieba ju nie lótalë,  
ani jagòdë w rãkach ju sã nie lepilë.  
Fligrë seklë niebò jak czòrné pòszëdła  
i diòblë ze skrzydłama.  
Naròz na zemiã pòsëpalë sã  
jak deszcz gradu pólné bómbe.  
Léna nas przëkrëła rãkama  
i całim swòjim brzëchã w farwnym fartuchù.  
Jësmë żëwi!

## STÔRÔ KNÉGA

Wertowała jem stôrą knégã  
na górze przë ùlómóny krokwie dakù  
běła skrëtò jaczé lata lateczné  
òbùtò w sécë pajiczën i kùrzu cãzczi mädël  
sygła jem pò niã i òtemkła  
mòże běła jem pierszò  
mësląc że wierã pòczãtk i kùńc swiata w ni sã òtemknie  
jak wiekò stòri skrzënie  
skarabeùsz mòjich mëslów  
nie pòkòzòł sã nigdë nawetka mie sami  
chòwòł sã za taskã z ùczidlím ùchã i wëszczëpionym rãbã  
jakkbë pãkòł ze smiëchù  
bò tajemnotã skrił w miechù pò mące zëtny do chleba.  
A wińdz, a òbiòw sã i pòkòz swój brunozłoti pùczel  
na jaczim słunuszkò i jegò parmienie  
w chòwónégò sã zabòwiają z cëchim czichòtã.  
Jeden taczi parmiëń  
razu jednégò ò czwiòrti z rena òblòkl sã w biòłą kòszlã  
i kòzòł mie za sobã jic pò dròbce wësokò do ceglastégò kòmina  
za nim z tëfu stojòł niemi kòłowrotk  
co pamiãtòł pierszã bialkã na ti zemi.  
Wzãł jem do prawi rãczy wiòlgã knégã  
zdebło zesztwiniãlã òd zabëcò  
cenczim gòtikã pisóné le jedno słowò „Got”  
jacji bëło mie zrozmiãlé przë czëtanim.  
Pajk mësterno séc ùtkòł i chcòł bòga w niã schwëtac  
leno òn pò dròbce i krokwiach ùcekł do rajszëgò ògrodu  
co z tëfu dodomù bëł  
a pò prawi stronie z drzewa na drzewa wiater cëskòł jabkama.  
Ta knéga miała w se mòc  
jeden ji dël bëł mądrosçã òblokli  
złotima lëtrama òbwieszcziwała swiatu o jegò drãdzim kùńcu.  
Rãce mòje cãzczé jak pòdkòwë zlãklë sã  
zëbë sygnąc i zdrzec w ji dno bez dna  
i òbaczëc trzecé òkò Bòga  
a w nim kùńc swiata i wiecznosc.

## BÛRZA I PÒ BÛRZE...

Wsządze cemno, szaro, bùro  
wiater wieje, rëczy, hùlò  
i pò pòlach weje w òddalë  
pãdzy, gnò leno dali  
w cemny las, taczi teròz czas.

Krący piòskã, lecy w górã  
ze jaż drzi nóm z zëmna skóra  
strach pò plecach mòckò chlastò  
doma mëmce padło casto.

A na dwòrze nick nie widac  
kùrë gãsë są w pòpłochù  
ùcékają gdzes do piòchù  
pioren zawisł gdzes na dachù.

W òknach ògnie, zëwé, jasné  
gdzes są pòli - w naszi stajni?  
piorën zazdrzòł do stodołë  
zarò pò tim deszczu gradë padłë.

Zemia całò są dzys trzãse  
chùtkò dzòtcki gromnicã pòlą  
bë są mòdlëc do Matinczi  
z całëch sël ò spòkój prosëc.

I żarlëwò w słowach taczich:  
„bë ùstała wiòlgò bùrzò  
ùcéchł deszcz i piorën ùsnał  
bë na swiece ùbëtk bël”.

Tej pò bùrzë niebò jasné  
dzys przëniosło krëszczy farwné  
jaczé dzòtcki kreslą w ksążkach  
a to bëła jasnò tãcza.

Co mieniła są w tësącach  
farwów zòłtëch i lëliowëch  
biòlëch, ceplëch i kremòwëch  
niosła redosc w kòszu z blón.

Na kwioteczczci reną rosą  
co główkama są jaż proszą  
i czekają bòzi krówczci  
co jim niese szczescé taczé  
jakkë plastrë miodu jaczé.

## G...

Grzechòtka Grétë  
òj rétë, rétë, rétë  
grzechòtała gwësno  
we wsë Lesno  
w gòlãbia dzobie  
co stojòł na prawi nodze  
w gromiczny pòrénk  
szukòł jãdrznëch zòrenk  
wëgrzechòtòł grochù kùgłë  
raz dwa w kùbłë  
trzë i terò z przòdkù të  
sztërë, piãc  
weznã groch w piãsc  
sëpnã szesc i sédem  
jesmë razã w jedny rédze  
pòtim tupniãc òsmë  
gwiónzdów dzewiãc złapiemë  
bë w dzesãti brzãczãcë spadłò  
Grétce nasi miodu szkłò  
tak pò pròwdze prosto z nieba  
nie brëkùje ju dzys chleba  
nié bùkwitë, ani grochù  
w górscë wszëtκό je pò trochù  
bë na drëdzi zniwny rok  
zakwitł w niebò pólny mòdròk.

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

TYTUS KAMIL ROLSKI

KÒMÙDA

mòłczenié  
gòłąbk czasu strzébrznopióri  
warbelk w piòskù  
nigdë na wiòldzim  
swiece  
le w dodómù  
pòlc przë lëpach  
pòdskòkiwò  
trzepòce sã

mołczą wszëtcë-  
w mëslach kroczi  
czerowac w prziiðnosc  
ë ùłowic w rãkù  
Pierszi Ròz

## SLÉDNY NÓRT

strachòblëwé jak dzysô  
ritmòwé bicé piesnie  
dzurama cecze smrok  
òdcãti òd swiatła  
znónym leno sobie  
spòsobã

strachòblëwé jak wiedno  
bãbnë ti piesnie  
swiãtosc zamikô  
głãbòk pòd zemiã -  
szari dzéj  
dosc długo  
wchòdający ë wëchòdający  
dwa partë  
òbłoklë w płochlëwé pòrënczi  
ë le w pùstëch pòlach  
òd nowa  
taczé same  
òb dzysészi grzëch  
do westrzòdka  
padlë na òbrodzajną zemiã  
jeden za drëdzim  
zòrna dalë żniwò:  
lëstczy złota  
gduńsczegò kòrnusu -  
wszëtkò bądze farwné  
gniòzda bądzą sã  
z zëmòwëgò spikù  
parmiń pòbładzył  
ë zmerkòł  
że musi nalezc  
stegnã  
znonym leno sobie  
spòsobã

## Z PROCĚMNŸ STRONĚ

bùten wińc na plac  
chtëren wisy  
na scanie nieba:  
taczì skòrb -  
lisk słuńca zabòczìł  
dëcht ò wszëtczim  
złoto zacząłò kapac  
z dzëbów ptòchów  
bezùstanny òdżin  
jakkbë spòdòł na remiona  
gòràcòsc spikù  
pàrmienie pòmìdze wardzi  
blòsk znò krëjamnotë  
w wiòldzi jadłòbie  
blòsk ùdrzi lëdczim  
òkã  
wéńdzenié rozdarte  
piorëńã

coròz czãscy  
nick òkróm sztëczka  
nocë  
wszãdze pùsto  
le dzesãc kłòsów zëta  
brzòd jész zelony  
tam gdzë ptòchë  
ë zabòczenié



## JESZCZE JEDNO SŁOWO

(list do Ojca)

*...Piesnió muszi cęgem liszczec baro krótko nieba  
Chocy słowórz ubodźich świętech je z prówdę  
CZAS muszi rągac Miono Orzła bo przëniós odźin  
z wësoczi górë a godowi czas muszi o tim wszëtczim spiëwac...  
TKR, „UTACKA”*

w szpargałach babki  
przycupnięte w maszynowym  
szryfcie wysłużonej Olimpi  
na przebitkowym papierze  
drzemały cierpliwie  
imiona i nazwiska ludzi  
mojej rodziny  
Prapradziadek Otto Weyher  
i Gertruda Schwarz, ich dzieci  
i dzieci ich dzieci o nazwisku  
Fenig na przebitkowym papierze  
mojej babki zażywali tabaki nie kichając  
zmieniali wyznanie  
hodowali róże tracili majątki  
rodzili kolejne pokolenia  
o niemieckobrzmiących imionach  
umierali na suchoty albo  
- klnąc po kaszubsku - na raka  
a we mnie rosło to dziwne  
echo  
ten alfabet zmienionej skóry  
spowszedniały w krajobrazie  
Freie Stadt Danzig  
  
zaciągający w dzieciństwie  
słonym nadmorskim słowem  
bez ś,  
ani - jak to na północy -  
ł  
  
na zdania babki  
bezsilnie zapadła dosłowna

litera  
dosłowna krztyna świata  
z pożółkłej fotografii  
ten ni to Danzig, ni to Gduńsk  
ten szkolny Gdańsk niemowlęstwa ojca  
i wypchany morską trawą  
słoń na tle ruin  
uśmiech ojca uczeplonego  
kilkuletnią dłonią parcianego  
ucha  
owe zdjęcie wydobyte na ostatnią  
ze stron rodzinnego albumu  
skręca się we mnie w znak  
zapytania  
chyba nie chciałem tego słuchać  
wymagało to więcej niż czasu,  
zdania o sobie w rachunku  
sumienia.

Pytać jednak musi  
po co przychodzę  
z szalamajem roztartym  
na ustach  
dlaczego kartki babki jak  
fotografia musiały zżółknąć  
abym tknął ich lichym wersem  
w swoich snach  
dlaczego czytam to  
co zasklepione i wyblakłe  
dlaczego wreszcie wypominam  
ten akcent mieszany życia  
jak nucie melodię.

Chyba dobrze przestać wracać.  
Wtedy właśnie.  
Uldze dać wytchnienie  
wytrzeźwieć z czasu  
- może wkleić do albumu  
swoją fotografię może  
córkę.

WYRÓŻNIENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

MATIS KLEBBÓW  
(POL. MATEUSZ KLEBBA)

\* \* \*

Szmakajã néta z gnôtów  
plënącô le pòmale na délu z kótkama  
rzekã niebno-tãgòwégò kalmùsu  
ùnôszajã sã  
frijno lecącë dalek w brëzgùlce  
wëzi blónów mòdrégò òka wszelejacji wiadë

Mòje miono w kam sã wlëmi  
jegò nieznóny z lëtrë sztòlt wëgòrzi w zemi szczytã  
zatkłã we wcyg roscącą klëkã nowëch czasów

## BEZPÔCHÒWI PÔCH

Błogòsławionò sznëpò  
chtërna lëbno òbjimòsz  
dwòjeczko mòjich upów  
Pòczëstnò mdzë  
za mòj niepatrzny wãch  
dzãka tropie twójégò  
bënowégò chëczowaniò  
czëjã  
pôchã mòrszczich wałów  
nòremné dënedzi  
zybajacé swòją daleczëznã  
zasztopónã nòdzeją  
knëzle mòjich starków rëbòków  
nie znòł jem jich  
dzãka tropie twójégò  
bënowégò chëczowaniò  
czëjã

## ÒD MIE, ÒD CE

Wierzã w kleczkã do swiata  
Wierzã w czer do szczescô  
Wierzã w klucz do miłotë  
Wiém le - nie jem z kòpru òdlóny  
Ùrenamle wszëtczima, wszëtczimù, z wszedny mòcë

## WDZĄCZNY JEM

Szkòłowi ławie jistny w nierëszali statecznoscë  
Rokroczo wcyg miëszy wëżawą  
na miã łaklëwie wzërający  
Dzãkniãczkã zbòżno halóm  
Pò wiele zymkach gónów żęcô  
Za kòżdi nielusy zwónk przed  
I kòżdą widniã pò



WYDAWCA

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
e-mail: mbp@biblioteka.lebork.pl  
tel. 59 8622307

RYSUNKI

Wiktoria Ramczykowska

ISBN 978-83-60731-40-6

WYDANO NAKŁADEM

Miasta Lęborka  
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

DRUK

Drukarnia BOXPOL Słupsk  
ul. Wiejska 28  
76-200 Słupsk  
tel. 59 842 43 71  
e-mail: druk@boxpol.pl  
boxpol.pl